





ZBIÓR POWIEŚCI

J. I. Kraszewskiego.

Wydanie nowe, przejrane, poprawione i uporządkowane przez autora.

Ogólnego zbioru tom drugi.

DWA ŚWIATY

POWIEŚĆ

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

Z portretem autora.



Widziałem wszystko co się dzieje pod kołosem,
a oto wszystko marność i ntrapienie ducha.

Ekklesiastes R. I. w. 14.

Każdy z nas dźwiga swe brzemię...

Anonym.

Wydanie nowe, przejrane i poprawione przez autora.

TOM II.

Wydawnictwo

LWÓW,

W księgarni Gubrynowicza i Schmidta.
przy placu św. Ducha 1. 43.

1872.



Nakładem Rogosza, Piłlera i Gubrynowicza & Schmidt.
Drukarni Kornela Piłlera.

1.

Chociaż prezes, zmiękczony przez Juliana i Annę, wyjazdem swoim upoważnił niejako panią pułkownikową do pozostania na jakiś czas w Karlinie, obawiał się jednak, żeby powoli pan Delrio tam nie zamieszkał i parę dni przeczekawszy, przyjechał znowu. Oboje pułkownikostwo byli tu jeszcze, ale sama znacznie już pozdrowiała, Greber powrócił do swoich miejskich pacjentów, życie zaczynało się tak jakoś układać, jakby goście ci na dłużej pozostać chcieli. Prezes dostrzegł tego na wstępie, zmarszczył się, widząc, że pułkownik trochę rolę gospodarza przybiera, i bez ceremonji zdziwił się, że tu ich zastał jeszcze.

— A! państwo tu dotąd! zawołał na wstępie, bardzo mnie to smuci, widzę w tem dowód, że się zdrowie pani pułkownikowej nie poprawiło.

— Owszem, rzekł chcąc nadrobić fantazją pułkownik, dosyć zdrowa, ale ją dzieci wstrzymały.

Przycisnął na dzieciach, w nich widząc prawo pozostawania w Karlinie; prezes nic zrazu nie odpowiedział, skłonił głowę i rozkazał tylko znosić rzeczy swoje...

— Wybornie, dodał, żem tu państwa zastał; znudzi-

łem się sam jeden w domu, w kupce istotnie lepiej weselej nam będzie.

— Stryj zabawi u nas? zapytał ochoczo Julian, całując go.

— Zabawię, zabawię, zateskniłem za wami; jakże się ma Anna?

Anusia wbiegła właśnie na te słowa.

— Dzień dobry stryjasku... dzień dobry... jakżeś łaskaw, że o nas nie zapominasz...

— Muszę ja o was pamiętać, kiedy wy o mnie nie chcecie; do Zagórza was zwabić trudno, tybyś się nieustannie o Emila niepokoiła, a więc ja tu posiedzę i trochę się wami nacieszę...

Pułkownik dosłyszawszy tych wyrazów, uczuł, że były do niego i żony wynierzone i niezręcznie bardzo, zaraz się wyrwał do niej z doniesieniem. Pani Delrio trochę była do tego przygotowana, nie zdziwiło ją wcale ani przybycie prezesa, ani zamiar pozostania w Karlinie.

— Więc my wyjedziemy jutro, odczuwała się do męża.

— Dlaczego *cher ange*? a gdybyśmy właśnie na przekór temu staremu galantowi pozostali? ot toby dopiero był figiel przedziwny. Jużciż nas wypędziłby nie śmiał, i dzieci-by mu na to nie pozwoliły...

— Zostałabym zapewne, gdyby mi się tak podobało— odparła pułkownikowa, ale bym to przeplaciła mojem zdrowiem, Wiktorze... ja nie mam sił na taką nieustanną walkę...

Delrio ruszył ramionami i podał nie sprzecząc się rękę żonie, która na spotkanie prezesa wyszła do salonu.

Jakkolwiek się nienawidzili i z uczucia swego aż nadto widocznego w czynnościach spowiadać nie potrzebowali, prezes i pułkownikowa, jak ludzie dobrze wy-

chowani i przywykli zachowywać się przedewszystkiem przyzwoiwie, nie okazywali po sobie niechęci wzajemnej; owszem, obsypywali się grzecznościami, zastępującymi niedostatek przychyłności, monetą powszednią, która dla ogółu często miała inne, dla interesowanych tylko znaczenie uszczypliwe i przykre. Prezes naprzykład dobierał zawsze z pułkownikiem i jego żoną przedmiotów rozmowy najboleśniej ich dotykających, upokarzał ich wspomnieniami swej rodziny, przymówkami do ich wieku, drażnił uczucie macierzyńskie, odmawiając mu prawa czuwania i kierowania dziećmi i t. p.

Ale pomimo to usposobienie, wchodzącą pułkownikową powitał z nadskakującą grzecznością, z uśmiechem galanta starej szkoły, z komplementami stereotypowanymi na podobne okoliczności. Pułkownikowa choć bardzo przyzwoiła, panować tak nad sobą nie umiała i była nieco zimną, pułkownik zakłopotany tak, że dowcipkować i żartować nie czuł w sobie ochoty.

Dzieci starały się tylko zbliżyć ku sobie istoty na wieki rozdzielone niechęcią niepokonaną, a Anna każde ostre słówko chwytała po drodze, by je dodatkiem jakimś osłodzić i przytępić. Pomimo to, towarzystwo Karlińskie ilekroć całe zebrać się musiało w salonie, sztywne było, zimne, niespokojne i zdawało się tylko wyglądać chwili oswobodzenia i rozejścia — wszystkim, nie wyjmując prezesa, trudno tak wyżyć było... długo; wszyscy rozchodzili się zmęczeni, rozgniewani w duszy, z przekleństwem lub łzą boleści przytrzymywaną, by jej wraz z okiem nie postrzegło.

Jeśli kogo, to Annę i Juljana bolał najsrożej ten stan rzeczy; nigdy sobie nie powiedzieli, jak na tem cierpieci, ale wejście często dawało im poznać co sie

działo w duszy. Anna, której całe życie było poświęceniem bez granic, posłannictwo swe aniola pokoju, pociechy i miłosierdzia przyjąwszy z zapalem męczennicy, mniej już każde drobne, pojedyncze uczuwała zadraśnięcie, gdy Julian słabszy, bardziej ceniący spokój, gryzł się niem niewymownie, zmuszony w głębi serca tać to czego doznawał. I czoło jego osłaniały też chmury, a siostra często go znajdowała bezsilnym, z oczyma zwilżonemi, siedzącym jak posąg zamyślenia na grobowcu Medyceuszów. Ciągłe wpatrywanie się w Emila, którego stan zatruchiwał Juljanowi prawie każdą życia godzinę; uczucie niepokoju, rodzące się z tych niechoci codziennych, wlewało w jego duszę tęsknotę i smutek, której nie rozzerwać nie mogło. Uboczna też może jeszcze jedna przyczyna usposabiała go także do tego smutku, który prezesa codzień czynił on troskliwszym.

Opisując mieszkańców Karlina, nie wspomnieliśmy jeszcze o jednej zamieszkującej tu istocie, która na oko nie wiele zajmując miejsca, ważną przecie w życiu codziennem Anny i Juliana odgrywała rolę... W roku urodzenia Anny trafiło się, że na jednym z folwarków Karlina gospodarujący ekonom ożenił się był z garderobianą pani chorążycowej; małżeństwo trwało krótko bardzo, i dając życie córce, biedna kobieta sama je utraciła. Wkrótce potem mąż, który szalenie przywiązany był do niej, sierotę odumarł. Państwo Karlińscy z politowania wzięli dziecko do dworu i zajęli się jego wychowaniem; nie myśleli wcale wysilać się na nie i poczęli jak zwykle z wychowanekami tego rodzaju, które muszą w dzieciństwie znosić dziwactwa sług wszystkich, dopóki same na niezawisłą służbę nie wyjdą. I byłaby się może mała Apolonia sponiewierała, gdyby zawczasu nadzwyczajna

żywość, dowcip, ładna twarzyczka i niesłychana łagodność charakteru nie uczyniły ją ulubienicą pani i pana. Bawiono się śliczną Polą (bo tak ją przez skrócenie zwano), dozwolano jej bawić się z Anną; Anusia przywiązała się do niej całą duszą i z garderoby przeszła sierotka do pokoju, a gdy przyszedł czas wychowania i nauki dla córki domu, Pola pozostając z nią razem, równie staranną odebrała edukację i tyle co ona, może więcej, potrafiła z niej korzystać.

Wprawdzie po kilkakroć robiono sobie uwagi, że dla ubożuchnej i tak poziomego pochodzenia panienki, świetne talenta i nauki wyższe niekoniecznie były stosowne i nie tylko w przyszłości nie będą pomocne, ale los jej skrzywić mogą; lecz gdy Pola chciwie chwytiała wszystko, nadzwyczajną będąc obdarzona zdolnością, gdy Annie trudniej co dzień rozstać się z nią było, gdy wreszcie powiedziano sobie, że zostawszy guwernantką, był niezależny wypracować może — Pola pozostała z Anusią i wyszła na prawdziwie zachwycającą dziewczeczkę, z której twarzy, obejścia, mowy, jużby nikt pochodzenia nie mógł się domyśleć.

Natura też szczodra była dla tego dziecięcia, któremu los zabrał razem prawie ojca, matkę i przyszłość. W swoim rodzaju była to urocza istota. Malutka, zręczna jak laleczka, zwinna, wesola, z włosami jasno-blond złotego koloru, z ślicznymi niebieskimi łzawymi oczkami, z okrągłą, świeżą i ożywioną twarzyczką, Pola zachwycała każdego, kto spojrzał na nią. Dowcipna, często nawet trochę złośliwa, ale pomimo to najlepszego i najmieńskiego serca, w wejrzeniu, ruchu, mowie, uśmiechu zdradzała się z rozdrażnionem uczuciem, które tylko szukało przedmiotu, by wybuchnąć nieugaszonym pło-

mieniem. Twarzyczka jej nie miała nic arystokratycznego, ale to był typ czysto słowiański w jednym ze swych najwdzięczniejszych objawów: oczy mówiące do duszy, zawsze prawie łez pełne nawet przy uśmiechu, usta najprześliczniej wygięte, różowe jak dwa listki kwiatu i trochę podniesione namietnic; noszek kształtny, odrobinięcznie zadarty, owal okrągławy ale przedziwnej linii, przypominającej twarze aniołków i dzieci... a przytem ułożka, rączka, kibić, warkocz, wszystko tak harmonijnie piękne, tak wypełniające całość, że przy niej gały i piękniejsze a nie tak szczęśliwie obdarzone paule. Przy tej powierzchowności tak wdzięcznej, ileż znówu dodających jej uroku przymiotów! jaka dobroć serca niczem się nie umiejąca hamować i wybuchająca naiwnie, ile żaru w duszy, ile zapалу, dowcipu, jak dziwnie splecione melancholia i wesele! Wrażliwa jak listek mimozy, z niczem się nie tała, kochała gwałtownie, nienawidziła śmiertelnie; każdą myśl i uczucie objawiała mimo wiedzy swej z całą szczerotą pocziwą, do której się czuła jakby ślubem obowiązana. Nie kryjąc swojego pochodzenia, dziecie ludu, chlubiła się niemal ze sieroctwa i urodzenia w ubóstwie, może za często, może za dumnie nawet wspominała o tem przy każdej podanej zręczności. Na pierwszy rzut oka, jej żywość, dojmujący dowcip, który rzadko poszanował kogo, złośliwe często przekasy, czyniły ją straszną, gdy tymczasem pod uśmiechem jej szyderskim, pod namietną tą ironią kryło się serce złote... I umysł mu odpowiadał. Pola nie przez pół i na chłodno czynić nie umiejąc, uczyła się z gorączką i pragnieniem wiadomości, polykała książki, sięgała po za granice kobietom zakreślone, z chciwością nie jednego ukusiła zakazanego owocu, i płomieniem, który objął jej

główkę, gorzej jeszcze rozpałała niespokojne swe serce. Oprócz tego, nadzwyczajnym do muzyki obdarzona talentem, mając zręczność w nim się wydoskonalić, doszła do znakomitej na fortepianie biegłości, a z ksiąg teoretycznych wyuczyła się muzyki daleko więcej, niż jej pospolici amatorowie umieć zwykli.

Pola była nieodstępną Anny towarzyszką; od dawna czas był pójść na chleb własny i na przyszłość pracować; trafiały się jej świetne bardzo miejsca, ale dwie przyjaciółki rozstać się nie mogły i Pola ochotnie poświęcała się tej, która ją uczyniła czem była. Jedna też, powiedzieć można, dopełniała drugą, jedna drugą podtrzymywała; coby poradziła Anna zostawiona sama sobie? gdzieby Poli lepiej być mogło jak tu, gdzie prawie rodzicielski dom znalazła? Żywiość sieroty, jej udane czy prawdziwe, naturalne czy gorączkowe wesele, wstrzymywało Annę od smutku i melancholii, w którą łatwo wpaść mogła. Obie były piękne, obie pełne, ale jak wielka była różnica ich wdzięku, tak wielka różność charakterów. W Poli drgało życie świeżo z łona ludu wytrysłe; w Annie skupiły się wszystkie cnoty przeszłości, odziane szatą ideału i obleczone tęsknotą. Dla Anny świat był żelaznymi drzwiami obowiązków zaparty; przywykła do poświęceń, nie rachowała już i oddała się cała na ofiarę rodzinie. Pola, choć chętnie zapierała się przyszłości, wzdychała do wszystkiego, co ułudna obiecuje młodość, a czego całe nie dotrzyma życie; pragnęła uczucia, walki, boju, dramatu i rwała się z tego kółka, w jakim była zamknięta, całą siłą namiętności, niepojętymi nawet modlitwa i chłodną atmosferą otaczającą.

Wspomnieliśmy już w rozmowie Juljana z Aleksym,

że młody Karliński całe życie za takim właśnie ideałem kobiety się upędział, jaki tu traf postawił u jego boku. Natura wszędzie dopełniająca się kontrastami, zrodziła w nim pragnienie czegoś jak najmniej arystokratycznego, a pełnego siły i drgającego żywotem... dla niego Pola była istotą jego marzeń...

Wyjeżdżając do miasta dla skończenia nauk, rzucił ją Julian dzieckiem prawie; powróciwszy, znalazł do niepoznania wypięknioną, dojrzałą, ponętą — i... a! trzebaż dopowiedzieć, że się w niej szalenie zakochał! Domyslicie się tego bardzo łatwo — inaczej być nie mogło; ale Julian był człowiekiem uczciwym i pierwsze drgnienie serca wstrzymał dłonią, zastanawiając się nad jego skutkami. Nie pomyślał nawet, by podle uwieść biedne dziewczę, które z naiwnością dziecięcia nastęrczało się same, szukało niebezpieczeństwa, goniło za niem... wiedział, że ożenienie było dlań niepodobieństwem; cała rodzina byłaby wszelkich możliwych użyła środków, aby mu je utrudnić, by je niepodobnem uczynić; postanowił zwyciężyć się, pokonać i rozezarować.

Ale miłość, to uczucie niepojęte nie rządzi się żadnem prawem stałem, nie ma nań przepisanych leków. Co jedną zabija to drugą żywi, często sama walka z nią wyrabia w niej siły nowe... Julian zmuszony widzieć ją codzień, żyć obok niej i wytrzymywać napady Poli, która kochała go nie wiedząc co się z nią działo i paliła słowy, wejrzeniem, westchnieniami, — przyszedł do tego stopnia namiętności, który graniczy z szaleństwem i rozpaczą... Pola nie wiedziała sama jakiej natury było uczucie jej dla Juliana, nie zaglądała w głąb serca swego, a jeśli kiedy przeleciało jej przez myśl, że to miłość być mogła, ledwie nie radowała się pożądanem

gościowi, który jej upragnione łyzy, męczarnie i cały świat nowy choć świat boleści przynosił. Nieraz śmiejąc się z siebie z bijącym sercem pytała się — Coby to było? i wśród uśmiechu łyzy potoczyły się po twarzyczce rumianej...

— Trochę pokochać i umrzeć! mówiła w sobie — alboż nie dosyć? Z czegoż składa się życie jeśli nie z łez i miłości? Nie jestże to szczęście być tak nieszczęśliwą, i wypić kielich żywota cały w jednej kropli trucizny, i położyć się w białej trumience, z wiankiem na skroni na wiekiwisty spoczynek? czegoż więcej spodziewać się mogę?

Tak czasem w chwilach samotnej tęsknoty marzyło dziewczę, i choć nie było pewne ani swojego uczucia, ani miłości Juljana, który nadzwyczaj zimno się z nią obchodził, ledwie nie więcej obawiało się spokojnego, długiego życia pospolitych skorniaków, niż boleści i szczęścia jakie chwila burzliwej miłości dać jej miała. O szalona była Pola! szalona!

Anna w prostocie ducha, chłodniejsza od swej towarzyski, ani się domyślała jej uczuć, ani je przypuścić mogła — śmiała się z niej jak z roztrzepanej głowy, czasem uśmierzyć starała się wybuchy jej dowcipu, wesela lub smutku, ale nie widziała w tem żadnego niebezpieczeństwa. W niej też serce zawczasu dojrzałe, szczerzej zamknięte, oczyszczone z ziemskich namiętnych zachceń i pożądań, spało błogim snem dziecięcia w kołobce... Była kobietą, ale skarby miłości w jakie je Bóg uposażył, oddała całe rodzinie i jak siostra miłosierdzia służyła tylko drugim, nie pominąc na siebie. Miłość zdawała się jej dzieciństwem, igraszką, czemś zbyt ziemskiem i poziomem, żeby na nią skarby duszy i serca szafować

przystało... Pole mówiącą o niej z zapalem strofowała jak dziecko za łażenie po drzewach, nie widząc winy w swawoli, ale przeczuwając w niej niebezpieczeństwo.

II.

Proszę sobie wystawić wśród tego towarzystwa jakie się znajdowało w Karlinie, obojga pułkownikowstwa, prezesa, Juliana, Anny i Poli, rozmawiających w salonie i upatrujących chwili w której przystojnie rozejść się będzie można... wpadającego obcego zupełnie, z innego świata człowieka, znanego nam Aleksego.

Nieśmiały choć energiczny, skromny choć nie czuł się niższym moralnie od nikogo, bo surowo pełnił życia powinność, Drabicki nie miał najmniejszej oglady, nie znał form towarzyskich, i gdy mu przyszło oddać Julianowi jego odwiedziny w Karlinie, nie wiedział zrazu ani jaką obrać do tego godzinę, ani jak się tam ubrać, ani co począć raz przyjechawszy. Z Julianem samym łatwiej mu było daleko, ale to co go otaczało, ten inny świat nieznanym, ci ludzie mówiący obcym językiem, w odmiennych zrosli obyczajach... przerażali go niestychanie. Nie chciał walki, obawiał się śmieszności, przeczuwał upokorzenie i gdy wszedłszy do salonu znalazł się w tak licznej gromie nieznanym, zaczerwienił się, pobladł, zmieszał, błagalne rzucając wejrzenie na Juliana. Szczęściem Julian znajdował się właśnie w salonie.

Aleksy. powiedzmy szczerze, piękny, gdy się nganiał w sukmanie, na dzikim koniu, wśród pól i lasów, lub gdy zadumany powtarzał na starej mogile wiersze staroego ślepcy greckiego, — ubrany we frak źle uszyty, w odzienie bez smaku i starania sprawione, ledwie nie

był śmiesznym w pośród ludzi, którzy ściśle pilnowali się mody, których oczy przywykły do jej wymagań, a najmniejsza nieforemność razić je musiała. Dodajmy nieszykowność postawy człowieka, który się czuł nie na swoim miejscu i celem wejrzeń ciekawych tyłu nieznanomych osób, a wytłumaczmy sobie, dla czego znowu i Annie i prezesowi nawet, Aleksy wydał się bardzo niepocześnie i niedźwiedzio.

Juljan pośpieszył go przedstawić pułkownikowej, prezesowi i ojczymowi, Anna przypominała mu się z uprzejmością, którą starała się zbliżyć do siebie dzikiego przybysza, i Aleksy usiadł, a raczej upadł na krzesło, nie mogąc jeszcze rozeznąć w tym tłumie nikogo.

Juljan chciał, oszczędzając mu przykrości i zakłopotania widocznego, zabrać go z sobą do swego pokoju, ale Anna, która ciekawą była poznać przyjaciela brata, tak bardzo przezeń zachwalonego, ciekawa Pola, która nań ze współczuciem już patrzała, po troszę prezes rad obcemu mogącemu przerwać jego rozmowę z pułkownikiem, nie pozwolili na to. Pułkownikowa tylko pod pozorem bólu głowy usunęła się zaraz do swoich pokojów, a reszta towarzystwa pozostała.

Po chwili też ochłonał Aleksy, serce mu bić przestało i rozmowa, probując różnych przedmiotów, poczęła się wiązać powoli, choć gość mało brał w niej udziału.

Pierwszą rzeczą która uderzyła oczy zdumionego Drabickiego, były dwie panienki siedzące obok siebie, a tak dziwnie dobrane pięknościami, by wdzięk jednej dodawał drugiej zajęcia i blasku. Idealna Anna ze swą powagą, Pola ze swoją trzpiotowatością wesołą, zarówno go zajęły jako dwa objawy piękna, nieznanego mu a zachwycającego. Jeśli komu to kobietom w atmosferze bo-

gactwa i państwa najpiękniej, ich to klimat, ich ojczyzna... na ubogim, jałowym zagonie wędną najpiękniejsze kwiaty, praca nie daje się im rozwinąć, troski gaszą ich wejrzenie i ledwie dobę w całym rozkwitnięte blasku, jutro już są zeschłą tylko pamiątką. I gdzie im myśleć o piękności, gdzie starać się o podniesienie wdzięku, jak zachować tę świeżość przeciw której spikają się codziennie słońce, powietrze, wiatry i praca co białe ręce w czerwone i pomarszczone zamienia. Dotąd Aleksy marzacy o ideale, o czemś tak nadziemsko wzniósłem i niemożliwym jak Beatryks Dauta, i jak Beatryks mającemu go przez piekło do niebios prowadzić słowem i ręką... nie spotkał nic na ziemi coby się z obrazem duszy jego porównać dało... Pierwsze spojrzenie na Annę postawiło go w obec rzeczywistości, równającej się najbardziej rozgorączkowanemu marzeniu. Anna była tym ideałem... jej piękność, jej powaga, spokój jej czoła, czystość duszy patrzącej śmiało przez oczy anielskie cisza i pogodą nieznaną... wszystko to czyniło ją dla Aleksego istotą najdziwniej stawiającą się przed nim w szatach, w jakie fantazja stroiła przyszłą jego kochankę... Przerazony tem zjawiskiem, nie śmiał spojrzeć na nią więcej, i zapłoniony, wzruszony, spuścił wzrok w ziemię z rozpaczą. Anna z ciekawością dziecka i życzliwością wzbudzoną pochwałami Juljana, wpatrywała się w niego niestannie, to go zaczepiając słowy, to badając wejrzeniem. Pół także nsiłowała odgadnąć co pod tą prostą łupiną wiśniaka ukrywać się mogło, i gdy Anna pociągała go dobrocią i grzecznością, ona ze swojej strony po troszę drażniła go złośliwością, od której zawsze zaczynała nawet z tymi, co dla niej byli najsympatyczniejsi.

Prezes obchodził, patrzył, myślał i ze stanowiska

wielkiego pana i eleganta usiłując osądzić przybyłego, powierzchownie od razu uznał go gburem, zostawując blankiet na wpisanie pocziwości na jego rachunek, jeśliby się później okazała.

Pułkownik, który ludzi cenił z powierzchowności i z ich użyteczności względem siebie, nie wahał się Drabickiego za zupełną poczytać nicosć.

Rozmowa niesłychanie była trudną, i nie dziw! Świat Karlińskich obcy był całkiem Aleksemu, jego zajęcia dla nich znówu nieznanne i niepojęte, nie wspólnego z sobą nie mieli; do zagadnień zaś wyższych, wznioślejszych, do roztrząsania rzeczy o których Aleksey mógł mówić bo je znał, ani pora' była ani miejsce. Drabicki nie mógł się objawić jakim był, czuł się tylko obcym, cierpiał i zdradzał swe nieoswojenie z większym światem; próżno Anna i Pola usiłowały go rozruszać, rozweselić, ożywić, wciągając w rozmowę, odpowiadał im tylko pół słowami i zakłopotaniem, a co gorzej, z pośpiechu kilka dość śmiesznych wymknęło mu się omyłek. Panny nie rozśmiały się wprawdzie w oczy biednemu Aleksemu, ale spojrzały na siebie zdając się mówić: — Czyż to być może! on, przyjacielem od serca i powiernikiem Juliana!

Nie mniej może od Aleksego cierpiał Julian, który go także nie poznawał, ale widział przyczynę i niecierpliwił się tylko jego brakiem odwagi, skłopotaniem, próżną chęcią nastrojenia się do towarzystwa, w obec którego powinien się był postawić od razu jak chłop Naddunajski przed cywilizowanym Rzymem.

Nie będziemy powtarzać prób tej rozmowy ciężkiej, urywanej, dziwacznej, która wiekiem się zdawała Aleksemu. Prezes który był świadkiem jej prawie milczą-

cym, odszedł nareszcie po ciehu rozpaczając, żeby na coś lepszego wyrosnąć mogła, ale razem niemal z usunięciem się tej postaci, która Drabickiemu imponowała swą dumą i przybraną uroczystością, rozwiązały się jego usta pod promieniem ogrzewającym młodych oczu Anny i Poli.

Tok rozmowy zwrócił się ku wsi, ku jej przyjemnościom i życia rodzajowi; zaczępiono o większe, ogólniejsze zadania, i Aleksy ośmielił się wreszcie czem był pokazać. Nie tyle łagodność i uprzejma grzeczność Anny, co szyderstwo dowcipne, drażniące jej towarzyszkę, dawało mu odwagi. Uśmiech otworzył mu usta... a obie panie postrzegły, że zrzucając nieśmiałość i stając się sobą, człowiek ten przeistoczył się zupełnie.

Juljan, troskliwy o przyjaciela, wmieszał się także do ich rozmowy, Anna chwaliła wieś...

— Ja, mówiła, tak ją lubię, że gdyby mnie w mieście przykuto, umarłabym z tęsknoty. Zamiast drzew, mury brudne, zamiast trawnika, bruki, zamiast świt wieśniaczych, łachmany które zbytek zrzucił na barki nędzy... zamiast woni kwiatów, dymy duszące... i gwar, i szum, i wszystko, i wszyscy obcy...

— A ja! przerwała Pola białe pokazując ząbki i przechylając główkę dziecięcą... ja choć nie znam, pragnę miasta... nie tyle murów co ludzi... Jak my tu powiedzieć możemy, że ich znamy: to garsteczka, to jeden tylko rodzaj... tam ich tyle a tyle!

— Co do mnie, — dołożył Aleksy, żyłem w mieście i na wsi, i sędzę, że ludzi jak rośliny podzielićby można... i napisać geografję człowieka, jak jest już geografja roślin... Są, co żyliby na górach, inni przeznaczeni do dolin, inni, co żyć mogą tylko na skałach, lub nad

woda... są między nami pleśnie i dęby, grzyby i trawy, powoje i trzciny... Jednym ojczyzną jest miasto, drugim wygnaniem...

Były to pierwsze wyrazy któremi zdradził się człowiek z pozoru nie obiecujący, z myślą nie powszednią, a choć może nie nową, to w zręczny wypowiedzianą sposób. Anna spojrzała na Polę, Julian na Annę, a Aleksy jakby temi słowy spoił się z obcymi, ośmielił się i żywo wniósł do dalszej toczącej rozmowy.

— Co więcej, rzekł, są w życiu jednego człowieka różne chwile, które go coraz odmiennie usposabiają; cierpiącym i zbolalym a szukającym ratunku miastobym za mieszkanie przeznaczył: smutnym a nie żądającym pociechy, wybrzeża morza puste i dzikie; naszą wieś uśmiechnioną szczęśliwym...

— A! więc na wsi musimy być wszyscy szczęśliwi, żeby żyć w niej z upodobaniem? przerwała w swój sposób Pola, usiłując zmieszać Aleksego i rozbudzić go więcej, sprzeciwiając mu się.

— Nie wszyscyśmy może szczęśliwi, odparł Aleksy, ale też świat jeszcze nie uporządkowany, jakby być powinien... poczekajmy trochę, nowi reformatorowie coś na to obmyślą.

— Wiesz, przerwała Anna, coś jeszcze ma w sobie rajskiego, jest jakby przypomnieniem ogrodu biblij, w którym na zieleni drzew spoczął wzrok pierwszego człowieka... ta cisza... a! nie chcę miasta!

Pola się rozśmiała...

— Jakżem ja biedna i występna, że go żądam! nieprawdaż panie Julianie?

— Ktoby wierzył takiemu trzpiotowi jak panna Apollonia, rozśmiał się Julek — jutro będziesz pani prze-

padać za wsią...

— A! ślicznieś mnie pan odmalował! dziękuję! — zawołało dziewczę... Ten nieznamy przyjaciel pana weźmie mnie... doprawdy za...

— Po prostu nie zrozumie cię jak my — szepnął Julian.

Anna z pogardą na czoło dodała...

— Muszą się zaraz pokłócić!!

Dosłyszawszy tych słów, Pola spojrzała na nią dziwnym wzrokiem podziwienia, jakby powiedzieć chciała: Jakżeś ty ślepa!

Powoli przyszedłszy do siebie, widząc się zrozumiałym, oswoiwszy z towarzystwem, Aleksy mógł nareszcie przedstawić inni się w całym blasku. Pola z zajęciem nadzwyczajnem poglądała na niego, słuchała i usiłowała wydobyć z niego coraz więcej; jej uprzedzająca grzeczność dla gościa wzbudzającego sympatję, spowodowała nawet lekką chmurkę na czoło Juliana. Zamyślił się i westchnął. Anna tymczasem bacznie się przypatrując także temu, który w początku tak się jej dziko wydawał, oceniając go lepiej, z powierzchownością jego jeszcze pogodzić nie mogła...

Wy tłumaczyła już sobie jednak i przyjaźń Juliana i współczucie jego dla dawnego towarzysza.

W pośród najwyższej rozmowy, wszedł znowu prezes, i z daleka przysłuchiwać się jej począł z podbudzoną ciekawością; po chwili skinął na synowca i odprowadził go do okna.

— Kto to taki? zapytał po cichu.

— Jest to mój towarzysz uniwersytecki, i przyjaciel osobisty, dziś zamieszkały w sąsiedztwie... ubogi szlachcie.

— Ubóstwam się domyslił, dziwnie zaprawdę wygląda...

Cóż on tu robi?

— Uprosiłem go, że przyjechał do mnie; od dawna pod samym Karlinem mając posiadłość, przez jakąś dzikość i dziwactwo nawet zajrzeć tu nie chciał...

— Rozsądny człowiek...

— Spotkałem go przypadkiem i wciągnąłem nareszcie...

— A! ty go wciągnąłeś? po co?

— Kochany stryju, w moim wieku i przyjaźń jest gwałtowną potrzebą serca...

— Szlachcie? spytał prezes powoli.

— Szlachcie, odpowiedział uśmiechając się Julian... i dobry szlachcie.

Prezes pokiwał głową.

— Dopuszczając go do poufałości i stosunków z sobą, dobrze się zastanów nad tem co robisz, Julku kochany...

— Ale mój stryju, ja go znam, ja go kocham...

Prezes nic nie odpowiedział.

— On mi jest potrzebny, dodał Karliński — nie mam do kogo przemówić słowa, przed kim się wywnętrzyć...

— A ja? podchwycił stryj z czułością.

— Drogi stryju... jakżebyśmy się zrozumieli, tak daleko latami będąc od siebie...

— Masz słuszność... młodemu potrzeba młodego... Ale ta szlachta drobna, dorzucił powoli... masz w domu siostrę... Pola znowu, ten żarzący się węgiel...

Julian dobrze zrozumiał, ale nic nie odpowiedział.

— Powtarzam, trzeba się dobrze zastanowić nad zawarciem ściślejszych stosunków.

— Ale ty go sam pokochasz, gdy bliżej poznasz kochany stryju... rzekł Julian... jestem tego pewny...

Zbliżyli się znowu do towarzysztwa. Aleksy całkiem już był soba, a straciwszy nieśmiałość, która go z po-

czątku czyniła tak śmiesznym, odzyskał tę trochę dumy i niezależności, która uboższym wobec bogatych koniecznie jest potrzebną.

Dla wszystkich pełen grzeczności i uszanowania, dawał przecie czuć, że się powiłyć nie da i czuje swą godność człowieka. Prezesowi ten ten nie zbyt się podobał, ale go z nim pogodziło szczere wyznanie ubóstwa, z którym się Aleksy nie tylko nie tail, ale się niem chlubił prawie. Anna przywykła zawsze być otoczoną równymi sobie, lub takimi, którzy za równych jej uchodzić chcieli, zdumiona została nową całkiem dla siebie postacią. Pola położeniem własnem sympatyzowała z Aleksym, widząc w nim jakby brata w ubóstwie i osieroceniu.

Tak czas upłynął do mroku i Aleksy ani się postrzegł, gdy mu te kilka godzin nleciały, przeląkł się prawie, widząc zmrok nadchodzący, i pochwycił chcąc powracać do domu. Była to sobota właśnie.

— Na Boga, biorąc go pod rękę szepnął Julian, nie mieliśmy czasu ani na chwilę być sami, nie uciekaj nie masz nic pilnego, jutro dzień świąteczny... musisz u mnie zanoćować...

— To być nie może, odparł Aleksy... a matka moja co na to powie ?

— Poszlemy z oznajmieniem.

— Złękuie się, żebyście mnie swoją grzecznością nie obalamucili...

— Ja cię nie puszcę, dodał Julian... nie prawda stryju? — odezwał się do prezesa... że zatrzymamy pana Aleksego.

— Po staroświecku kola mu każ pozdejmować!

— Ze mną na nieby się to nie przydało, rzekł Dra-

bicki, siadłbym oklep na konia lub pieszo mógł drapnąć do Żerbów...

— Ale mi musisz parę dni darować, od tego nie odstąpię — napastował Karliński; dziś sobota, mamy niedzielę całą, a w poniedziałek i wtorek święto... w polu roboty żadnej... we wtorek dopiero puszczę cię do Żerbów...

— Jak to nieładnie kazać się tak prosić! śmiejąc się dorzuciła Pola... czyż tu z nami tak panu źle, że i dwóch dni zabawić nie możesz?...

— Ja moje prośby łączę do Juljana nalegań, odezwała się Anna; on tak tęsknił, tak pana wyglądał... zrób że mu pan ofiarę...

— Nie jest to ofiarą z mojej strony, ośmielając się ochotczo rzekł Aleksy, ale ja państwu będę ciężarem...

Prezes, który milczał, rzekł nareszcie protekcyjnie:

— Panie Drabicki, nie każ-że się prosić; przywiązanie Juljana honor panu czyni, wywdzięcz mu się choćby maleńką ofiarą... i zostań. Zyskam i ja na tem, zbliżając się i lepiej poznając przyjaciela mojego synowca.

Choć dotknięty tonem, z jakim to powiedzianem zostało, uklonił się Drabicki, posłano do Żerbów z kartecką i pozostał na całą niedzielę i poniedziałek...

III.

Nie powiem, co się działo nazajutrz w duszy biednego Aleksego; dzień jeden spędzony w tem towarzystwie tak nowem, a tak miłym, wiekiem jakby całym przedzielił go od wczorajszego. Są w życiu chwile, których moc pożerająca trawi wspomnienia, zacierają ślady przeszłości i siłą wrażenia, jakie wywiera na wieki,

wpija się w duszę. Aleksy przeczuwał świat, ale nie znał innego nad ten, który mu się w nieszczęsnem sąsiedztwie Żerbów przedstawiał ze swojemi śmiesznościami, próżnostkami, wadami i źle pokrywaną ułomnością... tu wolniejszą mógł odetchnąć piersią. Ludzie, których spotkał, byli całkowicie inni, wykształceni, umiejący żyć, nie odkrywający co chwila swych słabości, starający się je pokryć, dobijający się jakiejś idealności, usiłujący okazać wdzięcznie i przypodobać...

Stosunek z nimi nie miał szorstkości zetknięcia ze szlacheckim ubogim światem, wejrzenia były atlasowe, słowa cukrowane, uściski ręki aksamitne... słodko i miło żyć było z nimi. Jeszcze Aleksy nie dostrzegł, że to, co mu się tak na pierwszy rzut oka podobało, nie wchodziło w żaden rachunek, nie obowiązywało do niczego, prostą tylko było formą i często żadną nicią nie łączyło się z sercem... To co on brał za objaw życzliwości i miłości chrześcijańskiej, niestety! w gruncie czczem było i stworzonem na powszednią potrzebę żywota salonowego; a ludzie w masce tej nie pokazywali nigdy prawdziwej swej twarzy, która pozostawała zakrytą, i ściśle tylko z nimi związanym znajomą.

Uderzyła go wprawdzie ta niewola formy, której poddawali się wszyscy wyrabiając, rzecz można, na jednego człowieka; ale po zbyt swobodnie rozwiniętych charakterach sąsiadów, znajdował w tem i dobre. Nie wiedział kto co myślał, ale czuł, że tu walka wyobrażeń, pojęć indywidualnych i sposobów rozumienia życia, ustawała zupełnie i dawała mu odetchnąć; nie potrzebował się oglądać, niepokoić i nieustannie gotować do walki.

Wprawdzie, po kilkunastu godzinach, porównyując

mimowolnie kółko swoje z towarzystwem, w którem się znajdował, dostrzegł, że ten tok rozmowy nigdy nie dozwalał sięgnąć w głąb rzeczy i z surowszem o nich odezwać się zdaniem, że bawiono się na powierzchni, i w żart po większej części obracano najważniejsze zdania, że odezwanie się sumienne, szczere, ściągало oczy zdziwione... ale to przypisywał żywiołowi obremu, wmięszanemu wypadkiem, i swojej przytomności.

Nikt go tak nie zajął, nikt nie pociągnął ku sobie jak Anna; dziwne uczucie owaładło nim od pierwszego na nią wejrzenia... zdawało mu się, że we śnie widzianą postać anielską, budząc się, przed oczyma zobaczył. Uczucie to nie miało nazwiska i było tak jak położenie Aleksego, nieokreślone i dziwaczne... nie objawiło się ono, jak pospolita miłość porywem gwałtownym, namiętnym, ale czią raczej, poszanowaniem i modlitwą duszy... Obawiał się zbliżyć do niej, a chciał z daleka poglądać na nią życie całe, i czuł, że gdyby się miał wyrzec nadziei widzenia jej, wiecznaby opłacić ją musiał tęsknotą. Gdyby mógł, upadłby na twarz przed nią, jak przed istotą wyższą, czystsza stokroć, idealniejszą od siebie, której dłoni nie godzien był dotknąć, a o zbliżeniu do niej lękał się nawet pomyśleć...

Anna wydawała mu się opromienionem zjawiskiem, które na jasnym obłoku zstąpiło na ziemię z wonią niebios i uśmiechem wyniesionym z nieba... Choć nie znał jej, przeczuwał w niej istotę świętą i wielką... której myślą ziemskiego przywiązania kalać się nie godziło, przed którą należało pokleknąć i wielbić... Nieustannie wpatrywał w nią ukradkiem, jakby jej rysy chciał ukraść i zachować w sercu na wieki, a gdy doń przemówiła, drżał jakby przed głosem z nieba... Takiego uczucia nie

doznajemy zwykle, tylko w obec istot, które na nie zasługują; ziemską miłość i namiętność, gwałtowne przywiązanie rozbudza wejrzenie ogniste, poezja kształtów, urok nowości, smutek, wesołość, jedno nic, mające własność brak jakiś w nas samych dopełniać — ale czci bojaźliwej i czystego wzruszenia doznajemy tylko od wcielonego ideału, rzadko spotykanego na ziemi... I ziemskie szale przechodzą tak, jak to, co je wywołało, ale uwielbienie owe nie mija, bo opiera się na niestarczającym nigdy wdzięku nieziemskim...

Wiem, że są ludzie, co w taką miłość nie wierzą, dla których zachwyt ów jest rzeczą niepojętą i tłumaczy się obłąkaniem; ale to biedni ślepi z urodzenia, co światła nigdy nie njrzą. Miłość ta rzadką jest jak ideał, ale się na ziemi spotyka, a biada piersi u której wykwitnie, a raczej szczęśliwe to serce, co nią się zapali... ona oczyszcza je i przygotowuje do niebieskich rozkoszy pośmiertnego świata...

Pod szorstką powłoką Aleksego, w osamotnieniu i dumach, w milejącem jego pustelniczem życiu, którego towarzyszami byli: Dante, Goethe, Shakspeare i Homer stary, dusza zostawiona sama sobie, żywiona lwim szpikiem poezji, wzniosła się wysoko i przygotowaną została cudownie do wielkiego szale idealnej namiętności... Aleksey nie mając go przed oczyma, stworzył sobie ideał Beatrycy i klęczał przed nim duchem, a poziome istoty, na które patrzeć był zmuszony, coraz wyżej podnosiły go od ziemi... Uciekał od nich wzrokiem i duszą... Annę zobaczywszy, uczuł jak obraz ów idealny stopił się, rozwiął i przetworzył w rzeczywistość; odtąd nie mógł już myśleć o wymarzonej istocie snów swoich, której miejsce zastąpiła Anna na wicki...

Nie jednak w nim poznać nie dawało tego stanu duszy...

Późno wieczorem powrócili z salonu do Juliana, Aleksemu naznaczono mieszkanie obok i dwaj przyjaciele zeszli się spragnieni siebie na poufną pogadankę.

— Złapałem cię, rzekł Julian, i spać ci nie dam... teraz dopiero, kiedyś tu dłużej pobyl, kiedyś nas bliżej zobaczył, całkiem ci się już wypowiadać mogę... Jakże ci się wydajemy?

— Szczęśliwi! zawołał Aleksey...

— A! i ciebie oślepia błyszczący pozór! — westchnął Julian, — i dla ciebie uśmiechnięte twarze są dowodem wewnętrznego wesela... Posłuchaj! Po za zasloną uśmiechu lży płyną pocichu... tyś się ich nie domyślił... Komedia ta pokrywa dramat smutny, którego śmierć sceną ostatnią...

— Dziwnie jesteś usposobiony, przerwał Aleksey...

— To nie usposobienie chwilowe, rzekł Julian... to rzeczywistość. Widziałeś nas w salonie rozmawiających żywo, ściskających się serdecznie, połączonych na pozór uczuciem najściślej nas wiążącym w jedno kółko... Matka nasza... która ci się musiała wydać piękną i szczęśliwą jak my wszyscy, boleje jak my, skazana na wieczną żałobę... szukała szczęścia i zawód znalazła. Delrio, nasz ojczym, dobrym jest dla niej, ale jej nigdy nie zrozumie i nie oceni... Jako matka straciła swe dzieci, bo prezes stryj nasz i ona są niepojednanymi nieprzyjaciółmi... a my zostajemy w jego opiece... Anna, to anioł, któremu tylko skrzydeł i aureoli braknie... to ofiara, co się już siebie zaparła, dla której ziemskie losy nie istnieją... Serce jej dla miłosierdzia wydziedziczyło się ze wszystkich uczuć innych, do których miało prawo...

wiesz, że brat nasz Emil, głucho-niemy, schorowany, potrzebuje ciąglej jej opieki; ja także bez niejbym żyć nie potrafił; zresztą Anna zawczasu powiedziała sobie, że i majątku i losu dla nas się zrzecze... i zrzekła się ich... Patrz! co tu za żywioły szczęścia!!! Smutno patrzeć na to, smutniej żyć w pośród tego... Na dobitkę, powiem ci, że ja, który się muszę ożenić z majątkiem, dla podniesienia imienia Karlińskich, dla uratowania Anny i kupienia spokoju Emilowi, ja co także naznaczony jestem na ofiarę... kocham się szalenie i bez nadziei.

Juljan obejrzał się, Aleksy mu przerwał.

— Nie mów w kim, nie potrzebuje, domyślał się!

— Ty? ty? zawołał przestraszony Karliński — jak to? byłoby to już tak widoczne?

— Może nie, kochany Juljanie, ale przyjaźni dane jest przeczucie i jasnowidzenia władza... zresztą wiedziałem, jakiego rodzaju był zawsze twój ideał i odgadłem...

— Cicho! na Boga! milcz! przerwał Karliński... a radź mi co począć mam z sobą...

— Ja! radzić tobie... na to potrzeba doświadczenia, a nie ma człowieka młodszego w tem nademnie... jam nigdy nie kochał szczęściem... i—dodał smutniej Aleksy—nigdy kochać nie będę...

— Jakżeś potrafił domyśleć się? Na Boga! mów, przeraziłeś mnie... jam sądził, że oprócz mnie nikt w świecie nie wie o tej tajemnicy... ja się z nią taje i kryje...

— I nie byłbym jej zapewne odgadł, rzekł uspokajając go Aleksy, gdyby nie twoje własne wyznanie, gdyby nie dawna serca twojego znajomość.

— Posłuchajże mnie i pozwól się usprawiedliwić, przerwał Juljan po cichu, oglądając się na wszystkie

strony. Nie sądz, żeby to były płoche jakieś miłości... między mną a nią nie ma innego stosunku poufalszego nad codzienny towarzyski, nigdy jej nie powiedział, nigdy nie dałem do zrozumienia nawet co czuję dla niej... nie wiem czy ona mnie kocha, miłość ta nie ma i nie może mieć przyszłości, a jest tak wielka, tak gwałtowna i tak niepohamowana, że są chwile, w których wszystkiego zapominając, chcę ją porwać, unieść, chcę ją udusić w uścisku i umrzeć przynajmniej, z nią żyć nie mogąc.

Mówiąc te słowa Julian rozplomiśniał cały, oczy mu się zaiskrzyły i dwie łzy błysły na nich, ręka drżała; cała twarz przybrała wyraz najwyższej egzaltacji... Tylko z tak niewieście-wypieszczonych ludzi taki płomień buchać może.

— Obok tego masz wiedzieć, dodał szydersko, miarkując się i zniżając głos, — że Pola rówieśniczka Anny, jej przyjaciółka, jest po prostu córką służącej mojej matki i ekonoma, sierotą bez imienia i rodziny... związek między mną a nią niepodobny, a miłość grzechem, zdradą, niegodziwością.

Uderzył się w piersi.

— To też raz pierwszy i ostatni w życiu zdradzam się mówiąc z tobą, bom potrzebował wywnętrzenia, rady, pociechy...

Aleksy zamyślił się głęboko i powstał z starca powagą.

— Słuchaj, rzekł — wzywając rady mojej, dajesz mi dowód ufności; nie zawiodę jej, pochlebstwem się nie skazę, nie obrócę w żart tego, co o życiu stanowić może. Potrzeba się wam rozstać, oddalić, przeboleć, przetestnić i zabić w sobie uczucie, które się nigdy urodzić nie było powinno... Tę jedną mam radę i tę ci tylko daję,

innej nie widzę.

Juljan spojrział na niego załzawionemi oczyma.

— Człowiecze, zawołał, masz radę, ale maszże ty serce? wiesz ty co to miłość? rozumiesz co szczęście? Ja nie mam przyszłości, ofiary tylko i ciężkie kajdany przedemną, jedną złotą mam chwilę i tej każesz mi się dobrowolnie wyrzekać! to nad siły! Ja nie nie chce tylko marzyć patrząc na nią, tylko ją widzieć, słuchać jej szczebiotania i wesołego śmiechu, patrzeć na jej zabawki dziecięce... zdaje mi się, że umarłbym w chwili, w którejby mi ustami dotknął jej... czoła!

Aleksy przeraził się gwałtownością uczucia, które buchalo z tej słabej przed chwilą istoty; nie sądził on, żeby Juljan zdolnym był czuć tak głęboko, tak namiętnie, inaczej wreszcie, z siebie sądząc miłość sobie wystawiał; pochwycił za rękę przyjaciela i rzekł surowiej:

— Dosyć o tem... rozdrażniasz się, rozplomieniasz, rozżarzasz... nie mów więcej... szczęście jest marzeniem, rzeczywistość pracą i cierpieniem tylko... uzbrajaj się do walki z życiem a nie marz o rozkoszach, które wyobraźnie ci burzą... Chcesz spokoju, szukaj go na innej drodze; tedy znajdziesz tylko do zgryzot, zniechęcenia i szalu. Potrzeba wyjechać, oderwać się, oddalić... lub znaleźć sposób usunięcia jej ztąd...

Juljan spojrział na przyjaciela z wyrzutem i gniewem prawie.

— Nie masz słowa pociechy, nie masz dla mnie nadziei!

— Kłamać nie chcę i uwodzić cię nie będę... po męsku przyjm chłostę i milcz...

Karłiński spuścił głowę i na tem przerwała się rozmowa na chwilę, ale Juljan raz otworzywszy usta, nie mógł się już wstrzymać od narzekań.

— A! czemż, zawołał, nie jestem jednym z tych ludzi obojętnych, którzy naprzód rachując dla siebie, łątwa ze wszystkich robią ofiarę; cóż łatwiejszegoby było jak pochwycić chwilę szczęścia, choćby ją łzami okupić przyszło?

— Ale nie zgryzotą sumienia! przerwał Aleksy. — Zreszta, wszak nie wiesz czy kocha ciebie?

— Czy mnie kocha? przerwał Julian... tak, nie wiem, usta jej nie powiedziały mi tego wyrazu, bo bym go nie mógł usłyszeć, ale jej oczy... ale jej uśmiech, tyśiące znaków, którem odpychała, które tłumaczyłem i tłumaczę sobie fałszywie naumyślnie... powiadają mi, że i ona tak jak ja jest nieszczęśliwą... Z tą różnicą tylko, kochany Aleksy, że ona zdaje się wyzywać niebezpieczeństwa, lecieć przeciwko niemu... i nie widzieć go; ciągnie mnie, chwytą, będąc jednak pewną, że choćbym jej dał serce, ręki nigdy mi oddać jej nie pozwolą... Dziwna, zaprawde, dziwna istota! O ile ja jej unikam, o tyle ona garnie się, szuka mnie, nastęcza mi się z naiwnością dziecięcia. Jest to męka niesłychana...

— Uciec, uciec potrzeba! przerwał Aleksy... nie ma innego ratunku!

— Nieraz, mówił dalej Julian, jakby nie słyszał rady przyjaciela... nieraz wśród obojętnej rozmowy, której unikam, mówi mi rzeczy, które palą jak ogień i burzą mnie na czas długi... I ona, i ona gotowa jest na wszelkie ofiary, byleby raz w życiu doznać tego wielkiego uczucia, które jest jak owoc rajski dla tyśiąca ust pospolitych ludzi niedostępnem... A! co począć! Jak się obronić od siebie, od niej, jak być panem siebie?

— Żleś się doprawdy udał do mnie, przerwał Aleksy... ja was obojga nie rozumiem... i słucham z podziwieniem;

ty lub ja musimy się mylić w pojęciu miłości...

— Jakto? co chcesz powiedzieć...

— Wszak posłuchasz mnie chwilę cierpliwie?

— O! mów i bądź spokojny; ciekawym i spragnionym.

— Ta wasza miłość jest czemś niepojętem dla mnie!

Czego ona pragnie? za czem goni? do czego się dobija? do rozezarrowania, ostygnięcia i zbrukania... Nie pojmuję czego możecie żądać i co was trapi? Miłość, jak ja ją pojmuję, czysto duchowa, możeż pożądać więcej nad to co macie? Jesteście razem, nikt wam po cichu kochać się nie broni, możecie czuwać nad sobą i pielegnując ogień święty w sercach, żyć lata, wieki, uczuciem, któreby może w związku ziemskim zmariało i zgasło.

— Poeto! nie znasz człowieka, podchwycił Julian; twoja miłość to zawsze Beatryks Danta, wiodąca go po zaziemskich światach... człowiek nie z samej składa się duszy... ja nie mogę rozbić uczucia na dwie połowy i jednej z nich nmorzyć w sobie — ja ją kocham duszą, sercem, ciałem, od stóp do głów, jak ją Bóg stworzył...

— Biedny człowiecze, westchnął Aleksy... przygotowuje się na zawody i męczeństwo...

— Męczeństwo już się poczęło, zawodu nie boję się... nie! ta, którą kocham, którą znam jak pierś własną, nie zawiedzie mnie w niczem! Co dzień odkrywam w niej nowe skarby, co chwila kocham ją mocniej... zdaje mi się, że cały świat musi jak ja szaleć za nią i radbym wszystkich odpędzić, by z nią tylko zostać sam na sam...

Aleksy uśmiechnął się.

— Cierp więc, rzekł, i nie żal się... przyjdą lata, że dzisiejszego swego nieszczęścia i złudzeń zazdrości sobie będziesz... i dość o tem, na Boga, dość o tem, proszę, nie mówmy.

Juljan posłuszny zamilkł, rozmowa przeszła na ogólne uwagi o tych, których Aleksy poznał dnia tego, dwaj przyjaciele rozstali się smutni i zamyśleni.

— Miałem szczęście, rzekł odchodząc Karliński, żem będąc u ciebie, poznał całe tve sąsiedztwo w Żerbach: wypłacę ci się jutro za to, dając ci poznać mój świat... Nicem ci nie mówił, nie chcąc cię przestraszać, że jutro imieniny Auny; prezes zprosił osób mnóstwo...

— A cóż ja pocznę?

— Zostaniesz, jeśli mnie kochasz... dałeś mi słowo... i pośmiejesz się z panów, jak ja w duchu śmiałem się u ciebie ze szlachty... Dobranoc.

IV.

Nazajutrz, w pośród tego tłumu, który najechał Karlin, Aleksy jeszcze się bardziej uczuł obcym i pokilkakroć chciał uciekać do Żerbów, ale go dane słowo wstrzymywało. Ten świat strojny, zfranczyzły, pogardliwy, nie ceniący człowieka tylko z grosza i imienia, pełen przesądów prastarych, poprzerabianych tylko nową modą — świat, wśród którego czuł się obcym i przybyłym, napelniał go strachem niewysłowionym: widział, że w pośród niego oglądany jak dzikie zwierzę, robić musiał wrażenie niekorzystne dla siebie, bo pomimo największych starań przypodobania się, co chwila, ilekroć usta otworzył, o drażliwą jakąś strunę potraçał. Obawiał się przypatrywać i obserwować, ażeby nie być poświadczonym o szyderstwo i nie wydać się z ciekawością swoją, choć zaprawdę ludzie ci warci byli oka postrzegacza...

Zebrali się tu niemal wszystkie znaczniejsze typy

arystokrację dzisiejszą przedstawiające, wszystkie postacie charakterystyczniejsze, nie licząc białych i startych, tło tego obrazu stanowiących. W ogólności, towarzystwo na oko jednostajnej formy, kosmopolityczną pociągniętą barwą, nie uderzało zrazu niczem wybitnem; znać było, że ci ludzie za słabi byli, żeby się oryginalnością gorącą i mimowolną odróżnić od tłumu; niektórzy silili się na nią i dosięgali tylko śmieszności, inni mieli dziwactwa zepsutych ludzi, największa część modelowała się na jakiś wzór idealny, pełen dystynkcji, chłodu, przyzwoitości, ale bez surowszego znaczenia. Powierzchnowość i stan umysłowy były na równi. Rozmowy toczyły się zabawne, dowcipne, wesołe, ale częściej i plotkami tylko podsycane; jednakże porównując swoją szlachtę z Żerbow z tem państwem, Aleksy znalazł znów szlachę, w którem się znajdował, a głębiej się zastanawiając nad obydwojema, jedne wady, jedne ułomności, też samą próżność widział w obu, z tą różnicą, że szlachta otwarciej była sobą, panowie usiłowali przybrać formę pożyczaną. Tu serca daleko zimniejsze były i zastygłejsze, nie ich rozgrzać, nie poruszyć nie mogło; uśmiech towarzyszył najsmutniejszym zagadnieniom, obojętność na nie była widoczną, a egoizm, wszędzie na świecie stanowiący podstawę błędów ludzkich, choć ubrany wytwornie, z rodzajem cynizmu przyznawał się do siebie i nie dziwił nikogo. Nikt się niczem nie zapalał, i wielkim warunkiem przyzwoitości było lodowate ostrygnięcie, mające dowodzić rozumu, a przekonywające tylko o wyższości i starości serca. Prezes Karliński, ze swą elegancją przy siwiejących włosach i zaprzątaniem ciągle go naprowadzającym na krytykę urzędnika, którego chciał zająć posadę; pułkownik Delrio,

udający w inny sposób młodzika i człowieka dobrego tonu, choć się często przez powłokę tę przebijała kordegarda i stare wojskowe nałogi, grali tu niemal pierwszą rolę...

Obok nich stał zaraz hrabia Zamszański, typ zbyt znajomy w świecie i literaturze, by się długo nad charakterystyką jego rozciągać potrzeba. W powieściach naszych aż do zbytku mamy tego rodzaju postaci, krytyka nieraz już wyrzucała powtarzanie ich, nie bez pozornej słuszności, ale można odmalować wyższe towarzystwo nasze pominąwszy pana-kosmopolitę? Spotykamy go co krok w życiu, nie dziwujemy się, że pisarz musi to tak częste zjawisko odwzorowywać mimowoli. Hrabia ów tak był hrabią, jak wszyscy za granicą majątniejsi Polacy; pierwszą myśl poddał mu podobno szwajcar hotelu we Lwowie, który podróżnego grafem przywitał, wypisując imię jego na tablicy; w Rzymie zostawszy kawalerem Złotej Ostrogi, w oczach własnych miał się już za usprawiedliwionego, że w milczeniu dawany tytuł bez protestacji przyjmował. Poszło we zwyczaj nazywać go panem hrabią, i pan Zamszański, zresztą dobry szlachcic, był już hrabią *par politesse*, bez opozycji. Nie młody już, siwiejący, ale nie pozwalający sobie postarzeć się, pan Piotr sztywno się trzymał, suknie nosił obcisłe, ubierał się bardzo starannie, golił dwa razy na dzień, i mówił z zapalem o Loretach paryskich. W kraju bywał tylko przypadkowo po pieniądze, lub dla interesów: rzeczywistą jego ojczyzną były koleje żelazne i z kolei wszystkie stolice. Lato spędzał zwykle w wód, których nie pijał, w Baden-Baden, Homburgu, Ems, Ostendzie wreszcie, jesień w Anglii lub Włoszech, zimę gdzieś na południu w Neapolu, Sycylii. Zwiedził Europę całą, był

trochę w Konstantynopolu, trochę w Algierze i trochę w Egipcie; ale podróże jego odbywały się w ten sposób, że hrabia nie mógł się z nich więcej nauczyć nad to, o czem wszyscy wiedzieli, co nigdzie z domu nie ruszyli. Nie szło mu wcale o poznanie krajów: kolej żelazna, statek parowy, w niedostatku ich poczta lub dyliżans, prznosił Zamszańskiego z ogniska do ogniska... tak, że wcale nie widział nawet świata, który przelatywał upakowany w pudełku. Za to w pewien sposób znał stolice doskonale, obyczaj dworu, ekwipaże dworskie, kluby, traktjernie, zabawy i główne domy, w których świetne bywały bale. Sławne galerje zwiedzał za pańszczyznę, ażeby mógł powiedzieć, że zna Madonnę Sykstyńską, noc Corregia, że był w trybunie Florenckiej, że dotykał fresków Rafaela... ale o obrazach i dziełach sztuki ledwie mógł nauczyć w jakich ramach co oprawne, gdzie się farba obsypała, lub jaką za nie zapłacono cenę. Upodobania nie miał w niczem, ale o wszystkim mówił gorąco i bez krzyczących fałszów; obfitował prócz tego w anegdotki, w drobnostkowe postrzeżenia i t. p. Zbierał sobie i pokazywał ciekawsze bilety, anonse, adresa i pełny miał ich portfel; pamiętał doskonale gdzie kogo widział, w jakim stroju, sławniejszych ludzi słowa nawet powtarzał, choćby najmniej znaczące, i czyił w ogólności wszystko i wszystkich, co oklaskiem okryto za naszymi rogatkami. W kraju naturalnie wszystko znów zdawało mu się lichotą. Pomimo siwizny i pięćdziesięciu kilku lat wieku, hrabia płochy był i powierzchowny jak dziecko, bawił się każdą rzeczą, porywał ją z zapalem, rzucił z obojętnością, zapominał łatwo, rozczulał prędko, rozstawał ze łzami, a na drugiej stacji z popiołem cygara otrząsał wspomnienia, które

wiekuście trwać miały.

Wspomnieliśmy cygaro: właśnie to była specjalność hrabiego, że się znał doskonale, na niem, wybierał je umiejętnie i nigdy nie palił tylko autentycznie najmniej sześć do dziesięciu lat sklepu mające... Nie mógłby był spać, gdyby pięć tysięcy cygar nie było w domu zapasu... a miał je najrozmaitsze: ogromne, małe, czarne, żółte, lekkie, mocne i systematycznie wiedział kiedy i gdzie jakie zapalić. Słowem, w Hamburgu mógłby był korzystnie użyć swych talentów do sortowania amerykańskiego wyrobu; a tymczasem przyjaciółom służył ochotnie, gdy o kupno chodziło... nikt go w tem nie przeszedł i powszechny też szacunek płacił za tak znakomitą zasługę..

Wszystko co nie paliło cygara, w oczach jego było poziomem i nikczemnem. Raz na statku parowym na Renie spotkał się pan Zamszański z Lolą Montes, wprzód jeszcze nim hrabiną Landsfeld została; Lola, jak wiadomo, rozmaite miała dziwactwa; nie było towarzystwa, nudziła się. Hrabia właśnie miał tyle oglady, dowcipu i formy, ile dla niej było potrzeba; poznali się, pokłócili, pogodzili, dwa tygodnie przebyli razem; Zamszański pogonił za nią potem do Londynu, stracił na przypodobanie się chudej taecznicy około tysiąca dukatów, pomimo wielkiej oszczędności, i odtąd wzdychał gdy o Loli wspominał, a przyjaciele często go nią prześladowali. W pokoju jego były trzy różne portrety hrabiny, a w portfelu podróżnym jej fotografia, nigdy go nie odstępująca... Chcąc rozweselić Zamszańskiego, rozmowę potrzeba było wprowadzić na Lolę lub cygara; chcąc go rozjątrzyć, dość było słowo przeciw niej lub regaliom powiedzieć...

Z hrabią przybył kuzyn jego, kuzyn Karlińskich, kuzyn całego świata przez babki, prababki, ciotki, dziadów i pradziadów, pan Marceł Pietrasz, młody człowiek, bez widocznego majątku, czepiający się wszystkich z kolei, żyjący po domach krewnych, i jak się zdawało, oczekujący ożenienia. Typ to zużyty, ale częsty u nas; nie nie umiał, szkół nie skończył, na pańskich stołach przywykł do wygod i dobrego życia; po francuzku mówił, tańcował, cygaro palił, kouno jeździł i grał w preferans. Posługiowano się nim w małych rzeczach dość chętnie, posyłano po sprawunki, obierano podgospodarzem na bale, używano do przyjmowania gości na pogrzebach, i wywdzięczano się grzecznie niewidocznemi datkami. Bardzo oszczędny, Pietrasz grał, wygrywał zawsze, utrzymywał się bez kosztu i czekał tej obiecanej przez losy panny, która mu wreszcie dom własny i niezależny byt dać miała. Oddajmy mu tę sprawiedliwość, że zawsze uganiając się za dobrem towarzystwem, w niedostatku tylko utytułowanych swych przyjaciół, zjadał bifsztyki marszałków i sędziów powiatowych, nie należących do familji jego i świeżo wyszłych z lona szarej szlachty.

Zaprezentowano później Aleksego, który wszystkiemu prezentować się musiał — niejakiemu panu Protowi Odymalskiemu; ten, jak hrabia Zamszański miał specjalność cygarów i Loli, był znówu z powołania koniarzem. Dość bogaty człowiek, średniego wieku, był wyrocznią wszystkich stajni, najstawniejszym jeźdźcem w kraju, sędzią na kursach, rozjemcą w kwestjach grzywy i ogona, słowem sportsmanem całą gębą, a raczej królem koniarzy. Żaden jarmark nie obszedł się bez niego, żadne ważniejsze kupno nie obyło bez jego porady. Sły-

nał szczególnie z talentu, jaki posiadał, przerabiania chmyza najniepokąźniejszego na wcale pięknego konia, a to prawie w oka mgnieniu. O nim to rozpowiadano w Berdyczowie, że u jakiegoś szlachcica kupiwszy cztery chabety, ku końcowi jarmarku jemuż je samemu odprzedał, a dawny właściciel poznał się dopiero z własną czwórka na pierwszym popasie. Wystrzydz, oczyścić, umyć, poddłubać, zamalować, wykurować, sprostować nie potrafił tak żaden konował; charakter nawet konia mienił się w jego ręk, dodawał ognia, uspokajał, jak mu było potrzeba...

W handlu końmi naturalnie nie można pytać bardzo ścisłego postrzegania prawideł sumienia i uczciwości; tu prawem jest sławne: — od żłobu do żłobu... śmiał się też pan Prot, gdy mu kto oszukaństwo wyrzucał i odpowiadał z dumą:— Mój drogi, potrzeba się znać, miałeś oczy...

W ostatku, jeśli się kto gniewał jeszcze, pojedynek miał zawsze w rękawie i strzelać się ofiarował, ale pie-niedzy oddać nigdy. I było mu dobrze z tym frymar-kiem, a wesoło sobie hulał, żonie zostawując gospodarstwo i dzieci, sam pędząc życie na bryczce i w męskich towarzystwach. Znakomity i to był w swoim rodzaju człowiek, a kochano go niezmiernie, bo z ludźmi żyć umiał, i do wypitej i do wybitej, do kart, do śpiewki, do kieliszka, słowem, nieoceniony człowiek. Brata ro-dzonego-by oszukał na koniu, ale to znowu inny inte-res: koniarstwo ma prawa swoje. Pan Prot Odymalski, z imienia, ze związków, z majątku, należał już do pa-nów, a choć makiujował, nie poniżało go to wcale; do-wodził uawet, że rycerską miał żyłkę i dlatego tak ko-chał konie... Żył na stopie pańskiej, dom miał otwarty,

i okolica przepadała za nim; czując też swą wziętość pan Prot górą głowę nosił, a pistolet zawsze mając w kieszeni, nie bardzo był grzeczny; uchodziło to za rubaszuć i popularność.

Brat rodzony pana Prota, pan Jan Odymaleki, prawie równego z nim wieku, także się tu znajdował; ten wcale do niego nie był podobny. Ani tych wąsów, ani tej postawy, ani jego zamaszystości nie miał w sobie; włosy krótko ostrzyżone, twarz wygolona do włoska, oko bez blasku, ubranie skromne; przecie wszyscy mu się nisko kłaniali, bo to był jeden z najbogatszych ludzi w kraju...

Z pięknej ale zadłużonej fortuny, którą Prot podniósł posagiem żony, pan Jan doszedł kilku tysięcy dusz i kapitałów; choć mówią, że w ogólności my żyłki do przemysłu i handlu nie mamy, wyjątkiem był nasz kapitalista. Grosz był dla niego celem, reszta rzeczą podrzędną; dobijał się go skrzętnie, powołując, umiejętnie i choć w ogólności uczciwie, ale też bez litości dla ludzi i bez względu na nich najmniejszego. Ściśle sprawiedliwy, nie popełnił nigdy nic nieprawego, nie za co by mógł odpowiadać przed ludźmi; z Bogiem i sumieniem osobny prowadził rachunek. Placił co był winien o dniu i godzinie naznaczonej, ale do tacek gotów był zaprzędn niewypłatnego wierzyciela... Surowy dla siebie i dla wszystkich, uznawał w milczeniu, że są rzeczy które ludzie wyżej grosza kładną; pozwalał na to, ale postępowaniem okazywał, że nie podziela ich błędu. Nie sprzeczał się, nie obwinał drugich, nie bronił siebie, a cichaczem i z wytrwałością robił swoje. Pan Bóg nie obdarzył go ani szczególną zdolnością, ani umysłem bystrzejszym nad innych, owszem, pojęcie miał leniwe,

nauki mało, ale za wszystko stawiała mu wola... Wielką dźwignią, bez pomocy innych środków, doszedł majątku, i dobił się powszechnej czci, na którą w istocie zasługiwał pracowitością, wytrwaniem, ale nie brakiem serca, poczytywanym za jakąś tęgość charakteru. W majątkach pana Jana włościom źle się nie działo, ale ściśle oddając im do czego był obowiązany, ani słowem ani czynem nie dowiódł im współczucia, miłosierdzia, litości; w pracy nie folgował, w smutku nie pocieszał, winnych nie oszczędzał; przemawiał krótko i surowo, a grosza swego nie darował i umierającemu.

Majątki mając rozrzucone w różnych kraju stronach, pan Jan ciągnął z nich najrozmaitsze korzyści: wyrabiał klepkę, belki, smołę, sukno, a gdy pora przyszła na cukier, wziął się do buraków. Prędko jednak postrzegłszy że na łasce Niemców nie wiele dokaże, nie mówiąc nikomu, wziął paszport, pojechał do Francji i Niemiec, przeterminował kilka miesięcy w fabrykach i powróciwszy już był w stanie sam kierować cukrownictwem, które mu doskonale poszło.

Jakkolwiek znano dobrze pana Jana, że nikomu nie pomoże, i dla nikogo nic darmo nie zrobi, pieniądz dawał mu wziętość, urok, pierwszeństwo; uśmiechali się do niego jak do ładnej kobiety, starzy i młodzi, co on zresztą zimno, obojętnie i jak hołd należny przyjmował.

W tej gromadce panów, oprócz kosmopolity, starego kochanka Loli z knzynkiem Pietraszem, prócz dwóch Odymalskich, kowiarza i przemysłowicza, były i inne ciekawe typy; był na przykład pan Albert Morszaniec, człek pięknego imienia i piękniejszej jeszcze niegdyś fortuny, dziś całkowicie dwoma rozwodami i rozmaitem używaniem świata zrujnowany, któremu pozostał tylko

klucz jeden z pałacem, kochanka której się pozbyć nie mógł, gusta pańskie i postawa arystokratyczna. Nie znać było na nim wcale ruiny upadku i rozpacz; owszem wesół był, śmiał się, grał grubo, i na szlachtę patrzył z wysoka, pewien będąc, że spadek jaki znowu go postawi na nogi. Był to bardzo zresztą dobry człowiek, uczynny, grzeczny dla swoich, dla kobiet nadskakujący, ślicznie mówił po francuzku, grał na fortepianie, śpiewał i sekundował do wszystkich pojedynków, jakie tylko się w okolicy trafiały; przyostro czasem obchodził się z wierzycielami, których i wypędzać i wypychać i wodą oblewać i ostrzeliwać kazał, różne im platając figle, ale miał po części słusność: ich to łatwowierność była powodem jego ruiny.

Z panem Protym Odymalskim przybył pan Ernest Galonka, człek najmilszy w świecie. Pan nie pan, ale takiej natury istota, że tylko w sferze wyższej mógł wyżyć i wytrącony z niej, jak ryba z wody wyrzucona zdychaćby musiał.

Ludzi jego rodzaju zwano dawniej poprostu pieczenniarzami, dziś grzeczniej nazywał się Galonka przyjacielem panów. Aktor doskonały, przejął ich język, obyczaj, manierę, sposób myślenia, smak, upodobania, wszystko aż do ostrzygania paznogi, z daleka przysiągłbyś, że to pan z panów, tak do nich był podobny. W pewnych nawet względach przechodził delikatnością nczuć i podniebienia tych, którzy mu za wzory służyli: nikt nadeń lepiej się nie znał na jadłach, przysmakach, winach i cielesnych przyjemnościach... Choć się wychował na kaszy hreczanej i skwarkach, choć u wdowy u której stał na stacji, nieraz może zjadł świecę olejową w wierzchu, a kocię pierogi na śniadanie, nabył jednak takiej

wprawy w rozpoznawaniu dobroci trufli, bukietu win i ocenianiu sosów, że gdy szło o stół brano go za super-arbitra. U szlachty nie bywał nigdy, bo chleba podsitkowego jeść nie mógł, białej sztukamięsy nie cierpiał, a ze słoniną był w stosunkach uadzwyczaj ostrożnych. Coby tam zresztą robił? ktoby tam mógł jego wysokie teorie preferansa, system kości win i potraw, rozumowania o bifsztyku i analizę strasburskiego pasztetu pojąć i należycie ocenić! Myśl jego sięgała wyżej, stał się potrzebnym wyższemu towarzystwu, zrzucił kapotę szarą na zawsze, wykoncypował sobie wuja biskupa, ciocię starościnę, zapisał się do panów i z nimi na wieki zaślubił. Puściwszy swoich kilku chłopków dzierżawą, cały rok jeździł po znajomych, grał, pił, jadł, weselo się bawił, i mówiono, że grosz nawet zbierał; najczęściej przebywał u pani Jeremjaszowej D... której mąż mieszkał za granicą, starej już dosyć kobiety, i tej służył za przypomnienie młodości, jak mówili ludzie złośliwi... To pewna, że w domu jej rządził jak w swoim, a kucharz przychodził do niego po rozkazy, gdy się tylko zjawił.

Oprócz wymienionych, był jeszcze pan Kalasanty • Spański, niemłody człowiek, który całe życie spędził pisząc historję wysp Balearskich. Przepisywał już ją dwudziesty szósty raz, coraz inną dorabiając przedmowę; bawił się także tworząc kolekcję motylów i chrząszczów... Namietnością jego było uchodzić za uczonego, chociaż prawdą a Bogiem wiadomości bez ładu schwycone, brak zupełny talentu i systemu, na kompilatora go tylko kwalifikowały. Najzacniejszy ten człowiek, gdyby nie skępstwo, miałby wiele pięknych przymiotów, i nigdy dobrowolnie źle nikomu nie zrobił... Synowiec jego, pan

Józef Spański, wyglądający sukcesji po bezdzietnym stryju, który mu już motyle i chrząszcze zapisał testamentem, rozporządzenie zresztą zostawując dojrzalszemu rozmysłowi — chorował na zapalczywe myśliwstwo. Polowanie było jego manją, Gerard bohaterem; abonował *Journal des Chasseurs*, pisał do niego artykuły, i miał za ograniczonych i bez czucia tych, którzy się do zajęczych uszów i lisiego ogona nie rozpalali, jak on, do szaleństwa.

Oprócz tych panów, żeńska część towarzystwa składała się z pani pułkownikowej, grającej rolę gospodyni domu na złość prezesowi, z Anny, której uśmiech i piękność ozłacały salon Karliński, z ślicznej Poli, pełnej zawsze życia i pociągającej ogniem który pałał na jej ustach, i kilku dam przybyłych. Z tych parę tylko wspomnimy. Najpierwszą na kanapie była żona pana Prota Odymalskiego, którą ponfale nazywano matką rodu, kobieta form wspaniałych, powagi wielkiej, wychowana niegdyś starannie co dziś jeszcze znać było i przejęta wielkością posłannictwa swego w wychowaniu potomków znakomitej familji Odymalskich, herbu Wczele. Macierzyństwo jej zaślepiało biedną i prowadziło do najdziwniejszego pojęcia swoich obowiązków. Odymalsey wydawali się jej krwią i pokoleniem wybranych, chłopców i córki hodowała wpajając im znakomitość familji, do której należeli i potrzebę utrzymywania swej godności. Baczna nadewszystko na to, ażeby się nie mieszała z nierównymi sobie, trzymała w domu synów i już ich wykształciła na paniczików tak delikatnych uczuć, nerwów i gustów, że spokojnie o przyszłość ich zasypiać mogła. Pomimo fałszywego pojęcia dobra dzieci i skrzywienia kierunku w ich wychowaniu, oddajmy sprawie-

dliwość: była to najlepsza i najczulsza matka, z czego, choć trochę chluby szukała, choć o tem bardzo mówić lubiła, nie godzi się jej mieć za złe — wszyscyśmy słabi; nie każdy zresztą ma szczęście urodzić się Odymalskim, a komu to pan Bóg dał, cenić powinien los jaki wygrał na wielkiej życia loterii.

Siostra hrabiego Zamszańskiego, baronowa Wulska, wdowa po człowieku który jej dwoje dzieci i niezmierną moc długów zostawił, tem tylko, że była kiedyś młodą i ładną, należała jeszcze do grona kobiet. Po śmierci męża wzięła się czynnie do interesów majątkowych i w tych utopiła resztę uczucia, wdzięku, wszystkich władz swoich używając do podźwignienia fortuny. Strój jej zaniedbany, roztargnienie, nastawianie ucha na najpraktyczniejsze kwestje handlu, sprzedaży, nowych rozporządzeń dotyczących się posiadłości ziemskich, dawał jej cechę wybitną kobiety jurystki. Korzystając z okoliczności, jednego radziła się o adwokata jakiego użyć miała, drugiemu opowiadała jaką ma podać prośbę do sądu używając terminów technicznych, z trzecim konferowała o cenie wódki. Zagadnieta o czem innem uśmiechała się tylko. Na wypadek wszelki miała z sobą dla poradzenia się z prezesem, jeśliby czas pozwalał, kopje ukazu Opieki, rezolucję Rządu gubernjalnego i notę swego plenipotentą petersburgskiego. Nie było pracowitszej, ale nie było też nudniejszej nad nią kobiety; wszyscy uciekali od niej, i na wesole zebranie sama jej bytność rzucała jakiś mrok nieprzebity. Palce miała chude, długie, z których ślady atramentu nie zchodziły nigdy, na reku worek z którego wyglądały papiery, nawet gdy na imieniny jechała.

Znajdowała się tu i pseudo-hrabina Jeremjaszowa D...

w której to domu zamieszkiwał najczęściej pan Ernest Gálonka, posądzony o bliskie z nią stosunki. Niegdyś nadzwyczajnej piękności, zachowała z niej jeszcze chęć przypodobania się, nos suchy, oczy wpadłe czarne, usta ładue, ale już nieotwierające się, by braku zębów nie zdradziły, i pleć, której białosć jako tako przedłużały kosmetyki. Mówiła tylko po francuzku, stroiła się niezmiernie, i była najlepszego tonu; na małe w jej życiu usterki nie zwracano baczuności, gdyż zbyt może czuła, miała tak zawsze łódką swoją kierować, że się o żaden skandal w oczy bijący nie rozbiła... Przebaczmy znowu słabości ludzkiej! Pan Ernest był może jej ostatnią deską ocalenia; trochę ją kompromitował, ale u schyłku młodości przedłużonej, sercem czy głową największe się zawsze robią szaleństwa! Zresztą, pani Jeremjaszowa była tak miła i grzeczna, tak nieczynna i uprzedzająca, a tak dobrego towarzystwa!

Nie liczym innych mniej wybitnych postaci, opuszczając umyślnie tłum istot albo podobnych do poprzedzających, bo w świecie tym najwięcej jest startych typów jednego stępla, albo zbyt obszernego potrzebujących komentarza, by się w całej swej oryginalności ukazały.

Aleksy unikając i nowych znajomości i oczu zwróconych na się, w kątku najmniej widocznym zamyślony przyglądał się towarzystwu, gdy przy nim zaszeleściła suknia, i zdziwiony ujrzał obok siebie uśmiechnioną twarz Poli.

Tego dnia Pola była tak piękną, tak piękną, że Julian oczu od niej oderwać nie mógł; miała tylko białą z niebieskimi wstążkami sukienkę, niebieskie we włosach ozdoby, które ich barwę złocistą podnosiły, a

białe obnażone rączki i ramiona zachwycaly posagowością swych kształtów. Obok Anny, której surowa piękność poetyczna wzbudzała podziw i poszanowanie, Pola drobniuchna, wesola, trzpiotowata i paląca namiętnością, stała jak umyślnie dobrana sprzeczność... pierwsza niepokoiła serce i porywała w krainę poezji, druga zdawała się ożywioną figurynką z najlepszego obrazu Watteau lub Boucher'a.

— Dlaczego pan tak siadłeś w kątku? odezwała się śmiało do Aleksego... czemu się pan nie chcesz przybliżyć do towarzystwa?...

— Jestem w nim obcy...

— I nie ciekawy je poznać? czy tak sama powierzchowność go zraża?...

— Przestrasza, powiedz pani...

— Doprawdy? mnie ona więcej rozśmiesza niż przestrasza...

— Pani to świat nie obcy...

— Mylisz się pan, odpowiedziała Pola z żywością osobliwszą... to świat nie mój, choć w nim zostałam wychowaną i przywykłam do niego, bom sierota i na świecie nie mam nigdzie swoich!! Żyjąc w nim od dzieciństwa, powinnam była zabłądzić i sadzić się w domu własnym... nie... nie! jakiś instynkt moją i tęsknotę gdzieindziej prowadzi... Wiesz pan, że nieraz patrząc na Żerby, zazdrościłam mu tego starego dworu wśród gęstych lip... zazdrościłam życia w tych domkach... malutkich, pod strzechą słomianą...

Oczy jej łza zwilżyła... Pola płakać i śmiać się mogła zarazem... białe jej ząbki pokazały się z ust koralowych...

— Przyszłam do pana, dodała — bośmy tu podobno

my tylko dwoje obcy i wygnańcy... powinniśmy wspierać się wzajemnie.

— Ja zapewne, ale pani?

— Ja więcej jeszcze od pana! nie lubię kłamstwa i nie udaję czem nie jestem... Pan Juljan musiał panu choć wspomnieć o sierocie...

I badające oczy wlepiła w niego; Aleksey zląkł się pytającego jej wejrzenia, obawiał się, by niem prawdy nie dobyła z głębi duszy... zmieszał się i zaczerwienił.

— Juljan nic mi nie mówił!

Pola poznała, że skłamał, przeczuła, że dla Aleksego towarzysz dawny nie miał tajemnic, z rumieńca jego dowiedziała się wiele...

— Kłamać nie ładnie, odparła cicho... No! nie mówmy o tem... jak się panu podobała Anna?— spytała po chwili. Aleksey znowu na tak nagle, niespodziane zapytanie zarumienił się podwójnie i skłopotał nie wiedząc co odpowiedzieć.

— O! pan się mnie obawiasz! przyjacielsko wlepiając oczy w niego, zawołała Pola — mów pan prawdę... ja pana nie zdradzę...

— Zaledwem ją widział, a znam ją tak mało!

— Fe! fe! pan kłamiesz ciągle; naprzód, dobrzem uważała, że z niej nie spuszczałeś oczu... powtóre, trzeba ją znać długo, żeby ocenić? Nieprawdaż, że to anioł upadły na ziemię za to może, że zapatrzywszy się na rozbijające się w przestrzeni światy, cichszym głosem nucił Bogu Hosanua! Nie prawda, że dość spojrzeć na nią, by w niej poznać istotę wyższą, wybraną, idealną!

— A! zgadłaś pani myśl moją.

— Byłam tego pewna... Serce, umysł, postać, wszystko w niej na równi, wszystko doskonale: jest to dja-

ment czysty, na którym nie ma skazy najmniejszej; przy niej tak mi wszyscy maleją, tak się okazują ułomni... tak nią jestem popsuta...

— A! i Julian to rzadkie serce... i umysł rzadki... mimowolnie wyrwało się Aleksemu, który rozmowę chciał zwrócić...

Pola z kolei zarumieniała się mimowolnie, drgnęła i pod wzrokiem Aleksego ukryć nie umiała wrażenia, jakie na niej zrobiło to imię.

Co gorsza, nie znalazła w ustach odpowiedzi... porwała się, nie umiejąc pohamować, i pobiegła...

Zdała, na pozór nie zważając na nich, Julian widział tylko zbliżenie się Poli do Aleksego, i uczucie zazdrości ścisnęło mu serce, kolował, zbliżał się i wreszcie usiadł przy Drabickim.

— Coście to mówili z Pola? zapytał niespokojny...

— Była to jedna z tych rozmów, z których zdać sprawy nie można... doprawdy... nie wiem... śmiała się z czyjejś sukni, uczyła mnie osób, których nie znam...

— Czegoż się tak w końcu zarumieniała?

— Alboż zarumieniała się? nie wiem doprawdy?...

— Ty nie wiesz! potrząsając głową, rzekł Julian... zwódź kogo chcesz ale nie mnie...

Właśnie gdy to mówili, służący wygalonowany zbliżył się, na srebrnej tacy niosąc Annie jakiś paczek opieczętowany; uwaga Juliana i wszystkich gości zwróciła się na solenizantkę.

— Od stryja Atanazego! zawołała Anna spoglądając na kopertę...

— Od Atanazego, a czemuż sam nie przyjechał! rzekł prezes, — zawsze dziwak!

Anna nie znalazwszy listu, szybko otworzyła paczkę,

na którą oczy wszystkich były zwrócone i zamiast jednej z tych cacek, jakie zwykle w dzień imienia ofiarują kobietom, po tacy rozsypał się ogromny hebanowy różaniec... Na końcu jego bielala misternie z kości słoniowej wyrobiona główka trupa, i krzyż z Chrystusem opromieniony do koła wielką splecioną z ciernia korona...

Godła śmierci i cierpienia... wszyscy odwrócili oczy, Julian się zżymał, prezes nie mógł się wstrzymać od wykrzykniku.

— A! cóż za niepoprawiony dziwak! ale godziło się.

— Jakże można coś podobnego przysłać na imieniny! powtórzyli inni.

— Ale kochany prezesie, łagodnie odezwiała się Anna, całując Chrystusowe nogi — mógł-że stryj Atanazy piękniejszy i miłszy zrobić mi podarek? Modlitwa, cierpienie, przykład Chrystusa... przypomnienie śmierci, sąż to rzeczy złej wróżby? Jam z tego szczęśliwsza niż z najkosztowniejszej fraszki, w którejby żadnej nie było myśli...

I różaniec czarny przycisnęła do piersi...

Pola, która chwyciła ją była za rękę, i tzy już miała w oczach, w milczeniu, wymowiem wejrzeniu uwielbienia objęła Annę; Aleksey, patrząc na ten obraz, osłupiał z zachwycenia, ale całe towarzystwo, niewyjmując nikogo, uczuło silnie niestosowność tej myśli śmierci i cierpienia, która się odbiła w sercach wszystkich. Żadna z pań nie wzięła w rękę różańca, szeptano i ruszano ramionami na stryja Atanazego; prezes się zżymał, Julian oczyma gonił za Anną.

Twarz jej wszakże nie okazywała, by ją to, co za jakąś przepowiednię złowrogą uważano, dotknęło i obeszło... uśmiech nie zszedł z ust jej, oczy jaśniały nie ziemską

radością i zadumaniem... długo wpatrywała się w Chrystusa i ciemnową koronę; wreszcie widząc, że różaniec robi przykre na paniach otaczających wrażenie, wyszła z nim do swego pokoju.

Pola zbliżyła się do Aleksego, którego jakby prze-czuwając sympatję jakąś, jakby szukając przyjaciela, goniła ciągle oczyma... co Juliana pobudzało do zazdrości i gniewu prawie:

— Widziałeś pan? zapytała...

— Widziałem, i tak dalece nie pojmuję tego podarku tak niezwykłego, że chyba mi go pani wytłumaczy.

— Żeby go zrozumieć, musiałbyś pan poznać stryja Atanazego, odpowiedziała Pola... — Długo by o nim mówić potrzeba, lecz zaprawdę ciekawy człowiek... Widziałeś pan Annę, jak przyjęła ciemnową koronę... Anioł panie! anioł! zawołała z zapalem. — Jak w pośród nas, istot bojaźliwych i ziemskich, olbrzymią jest i obcą!

Aleksy stał zadumany...

— To prawda, rzekł mimowolnie, człowiek boi się do niej przemówić, tak mi zdaje się świętą i czystą... oddech i słowo, myśl i wejrzenie nasze skalaćby ją mogły.

— Jej nic nie skala! przerwała Pola z zapalem... ale dobrze zauważywszy uwielbienie, z jakim mówił Aleksy...

— Cieszę się, że choć pan oceniłeś ją i pojąłeś jak ja... Będę się miała z kim moją cześć dla niej i miłością podzielić!

V.

Dzień cały sptynął, wedle bardzo zwyczajnego programu imieninowego; o trzeciej czy czwartej otworzyła się sala jadalna, kucharz wystąpił z wspaniałą piramidą,

wypito zdrowie solenizantki; Julian i prezes raczyli gości, jedli, pili, po objedzie ten i ów odjechał, a nad wieczór kilka tylko osób pozostało... Anny dość długo nie było w salonie... Pola znowu zbliżyła się do Aleksego.

— Wiesz pan gdzie Anna? spytała go...

— Nie, pani...

— My się tu bawimy, a ona wynknęła się do Emila, który dziś zachorował, poszła słuchać jęków jego, oblewać łzami niepowrotne nieszczęście... łagodzić wzrokiem i macierzyńską pieszczotą boleść nieukojoną... czuwać nad tym, który jest więcej dziecięciem jej niż bratem. Gdy zniknie, wiem gdzie jej szukać... tam gdzie pocieszać, radzić, wspomódz, poświęcać się potrzeba... Ona nie żyje dla siebie... A! czemuż ja com mieszkala przy róży, jak mówi Saadi, taką różą być nie mogę... Bóg stworzył mnie inaczej! ułomności ludzkie często uśmiech szyderstwa wywołują z ust moich... pojąć ją potrafiłam, naśladować nie umiem! To anioł! a ja jestem istota ziemską... jej serce w niebie, a moje tak do ziemi przyrosło!!

— Doprawdy pani, usiłując tok weselszy nadać rozmowie, rzekł Aleksy, radbym pani powiedzieć coś grzecz nego, ale nie potrafię... wybacz prostemu wieśniakowi. Mnie się zdaje, że kto tak oczy w cnotę obrócił, jest już sam cnotliwy... Magnes pociąga tylko żelazo, które samo magnesem się staje...

— Tak! tak! ona jest magnesem... a ja! ja! niestety! zardzewiała sztabką żelaza... o! przekućby ją potrzeba, żeby się na co przydać mogła...

Westchnęła...

— A! — dodała śmiejąc się do Aleksego, pan Bóg trochę niesprawiedliwy: ja był powinien stworzyć do świata, a mnie dać ten spokój siostry miłosierdzia...

Takby lepiej było... nam obu...

Aleksy nie odpowiedział... Pola widząc wchodzącą Annę odeszła... ku niej, a Juljan zbliżył się do przyjaciela.

— Jestem zazdrosny, szepnął mu na ucho... Pola za tobą goni widocznie... najwięcej mówi z tobą... niegodziwy i szczęśliwy człowiecze! to mnie niepokoi!

— Wierz mi, że przez litość tylko zbliża się do milczącego gościa, odpowiedział Aleksy — widziała jak mało kto mówił do mnie, jak byłem sam w pośród was i pożałowała mnie trochę.

— Jeśliś był sam, to dobrowolnie, rzekł Juljan, wszak usiłowałem cię pociągnąć, zbliżyć, zapoznać...

— Było to szlachetne, ale daremne usiłowanie, chłodu odezwał się Aleksy. — Naprózno bym się starał wcielić w wasze grono, które mnie odpychało jak żywioł zupełnie obcy. Niepodobna, żebyś tego nie widział; strój mój, mina, zwracały oczy, ale nie pociągały sere! widziałem jak szeptano, domyślałem się uwag, które robiono nademną, moim frakiem i opaloną twarzą. Wyznaj, że nie jeden cię zapytać musiał, co tu robi ten rodzaj ekonoma i niezgrabnego szlachejczy?

Juljan, który oczyma gonił za Polą, rozśmiał się wszakże na te słowa.

— Nie będę moich bronił, rzekł z uśmiechem — na tym świecie powierzchowność jest paszportem, o który naprzód pytają... Jest to tak dalece wkorzenionym nałogiem, że charakter, szlachetność rysów, piękność twarzy nawet, malująca się w niej dusza, nie są dostateczne, by zastąpić brak pewnego poloru, formy i ogłady. Nikt z nas nie ma siły kopać rudę, przetopić ją, by z niej dobyć złota: wolimy stemplowaną monetę choć mniej-

szej wartości. Gdyby dziś największy mędrzec, najświętszy z ludzi, w dzinrawej tunice i todze, z kurzawa pracy na nogach, z potem na czole i krwią na piersi stanął przed nami, śmiechem byśmy go może powitali, jak poganie...

— A jednak mówicie o postępie, i uczyliście się ducha wieku... i lubicie się z nim popisywać.

— Pragniemy czegoś, a lenistwo dojść nam do celu nie dopuszcza: lżej chodzić udeptaną drogą...

Co ci mówiła Pola, przerwał Julian...

— Julianie! Julianie! odparł Aleksy... szalejesz doprawdy; cały dzień chodziłeś za nią wzrokiem; miej moc nad sobą; patrzy na ciebie! patrzy.

— A! tak była piękną! a wzrok jej...

Prezes zbliżył się powoli do rozmawiających...

— Przysięgnę, że na wspólnie z panem Drabickim ogadujecie towarzystwo dzisiejsze, rzekł wesole.

— Trochę, odpowiedział Julian.

— Widzicie, że zgadłem... znam Julka dobrze, uniwersytet i filozofja bucha jeszcze z niego; *cela me fait l'effet*, jak gdyby jadł czosnek na śniadanie.

— To na zaletę... rzekł Aleksy, nie dosłuchawszy do czosnku.

— Śliczna rzecz, szkoda, że się na nie nie zdała, zawolał prezes powoli z pewną dumą... Odbudować świata, ani przerobić natury ludzkiej nie potrafiacie idealnami; kulawym być musi człowiek zawsze... Śmiać się z niego mamy wszyscy prawo, ale każdy ze swego stanowiska śmieje się zarówno... praktyka życia i doświadczenie uczy, że błędy są koniecznością świata i cementem jego budowy.

— Można by wszakże użyć czystiejszego... wtrącił Julian.

— Napoleon nienawidział ideologów i ja także, nie taje się z tem, — zawołał prezes... Cóż lepszego pan brat Atanazy, który ukochanej synowicy przysyła w dzień imienin trupia główkę i cierniową koronę... Ale, ale... panie Juljanie, wszak jednego z tych dni pojedziesz do Szury?

— Nie wiem jeszcze...

— Ale ja wiem, że pojedziesz... ot tak! dodał prezes, obydwa... z panem Drabickim, warto, żeby poznał stryja Atanazego, a i tobie weselejby było w podróży... moglibyście wrócić za dni pare...

— Z Aleksym najchętniej, a sam...

— Ja recze za pana Aleksego, że pojedzie z tobą... rzekł prezes, biorąc pod reke Drabickiego, ale to poufałe obejście placąc zaraz dość niegrzecznem odezwaniem się:

— Mój panie Drabicki...

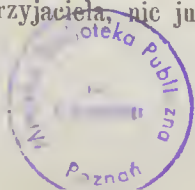
Odprowadził go na bok trochę...

— Mój panie Drabicki. rzekł z cieba — zrób to dla Juljana, którego kochasz... mam powody, dla których chciałbym, żeby się trochę od domu oddalił, rozerwał... pojedź z nim do Szury, do mego brata...

— Panie prezesie... radbym z serca...

— No! i pojedziesz! pojedziesz! dumnie ale przyjacielsko razem dodał stryj Juljana... uczynisz to dla mnie... proszę cię.

Nie wiem jak się to stało, ale zawahawszy się trochę, gdy i Anna przybiegła z uśmiechem, łącząc prośby swoje, Aleksy dał się namówić... a tak niespodzianie przejażdżka do Szury ułożoną została i Juljan rad, że dłużej zatrzymał przyjaciela, nie już przeciwko niej nie miał...



VI.

Pierwszy to raz z wyznaczonej drogi zboczył Aleksy, dając się pociągnąć urokowi przyjaźni, a może sile wrażenia, jakie na nim uczyniła Anna.

Nie powiem, że się w niej zakochał; wyraz ten niedostatecznie tłumaczyłby uczucie rzadkie, niezwykle, wyjątkowe, jakim Aleksy był przejęty. Serce ma tyśiące odieni przywiązania, którego rozbudzenie zależy od iskry co je wywoła. Każda z kobiet prawie inaczej kochać się każe, i są ideały, które najcieleśniejszego z ludzi potęgą ducha niezłomną pociągnąć muszą w sferę niezemską. Kocha się sercem i głową, ciałem i duszą, i mieszanina tego wszystkiego w różnych stopniach. Nie zaprawdę radszego nad przywiązanie, oparte na czci i czyste jak łza boleści, ale i ono wykwita czasem na ziemi. Nie obwiniajmy malarzy o nieprawdziwość obrazów, bolejemy raczej nad oczyma, co wzorn ich nie widziały lub zobaczyć nie chciały. Aleksy doznał na widok Anny uczucia, które się określić nie daje; było w niem i uwielbienie piękności, i urok wdzięku, i przeczucie jej duszy i intuicja jej wielkości i cześć dla poświęcenia — wszystko szlachetne było w niej potężnie. Ziemską miłość co pragnie, pożąda, szaleje, nie wnięszala się tu wcale, na nią nie było miejsca... myśl zbliżenia się, połączenia jakim węzłem, coby ich porównał i zjednoczył, nie postala w Aleksym; dla niego Anna nie sięgała stopami ziemi i była czemuś tak dalece wyższem, czyściejszem, prawie innej i eteryczniejszej natury, że końca jej szaty nie śmiałyby być dotknąć, i leżałby przed nią wieki, byle się promieniem jej oczu rozgrzewać... Wi-

dzieć ją, słuchać, służyć jej, podziwiać tylko pragnął, — uczucie, którego doznał w oczach własnych. uszlachetniało go, podniosło, spotęgowało. W pierwszej zaraz chwili głos jakiś powiedział mu: — Innej już kochać nie będziesz! Aleksy zapominał nawet o matce, o obowiązkach, o dzikości swej, o upokorzeniu, byle dłużej w Karlunie pozostać i napatrzeć się obrazu, który miał na zawsze wyrzeć się w jego duszy...

Jedno może oko dostrzegło, co się w tajemniczej głębi człowieka działo... oko Poli, która instynktem nadzwyczajnym przeczuwała ludzi i uczucia... W pierwszej chwili zadrżała, litość odpędziła bojaźń i lza przesliznęła się po przywykłych do niej źrenicach...

— Biedny! — zawołała w duchu... jak ja skazany na nieuleczoną chorobę... żal mi go... czuje że dobrze, że gorąco kochać potrafi!... A Anna! co za myśl!... Dusza Anny ogarnia świat, kocha ludzi, ale miłość taka, jaką ja ją pojmuję, nigdy się w niej nie zrodzi... ulituje się, pocieszy, ale zstąpić z wyżyn jasnej nie potrafi dla nikogo!

Zadumała się Pola biedna, siadła do fortepjanu i poleciała dźwiękami w świat, w którym myśl strumieniami tonów się tłumaczy... tam jej było lepiej... Grała długo, Aleksy słuchał, a Julian w kątku salonu poglądając zdaleka na rozkoszne dziewczę, jak martwy pozostał cały czas, w nią się wpatrując... Czy ich spotkały się nareszcie, nie myśleli oboje, że na nich patrzą... pułkownikowa, prezes, i pan Delrio — zapomnieli się... Pola nie spuściła oczów, Julian ich nie odwrócił, i powiedzieli sobie wymownem spojrzeniem wszystko, co powiedzieć chcieli. Nareszcie Pola zadrżała jak przebudzona, zerwała się nagle od fortepjanu i wybiegła z pokoju;

Aleksy pospieszył do przyjaciela, bo przeczuwał, że pozostawszy sam, może się wydać ze wzburzonym uczuciem... Julian poskarżył się na ból głowy i Drabickiego uprowadzając z sobą, wyszedł z salonu...

Anna po chwili malej poszła za Polą, bojąc się czy nie zachorowała, pułkownik wysunął się do swego pokoju i prezes oddawszy dobranoc dawnej bratowej, miał już odejść także, ale nadspodzianie, pani Delrio wstała i prosiła go o chwilkę rozmowy.

Prezes przybrał postawę urzędową, ale z grzecznością przysunął krzesło do bratowej...

— Co pani pułkownikowa rozkaże? zapytał.

— Chciałabym o moich dzieciach pomówić z panem prezesem, odezwała się kobieta, nie tając, jak ją kosztowała ta rozmowa z nienawistnym człowiekiem.

Najchętniej... mówimy o nich; pani wie, że dla mnie są to także jakby moje własne dzieci...

— Darujesz mi prezesie, że się mieszam do tego, i że zwrócę uwagę twoją na okoliczność, która, zdaje mi się, uszła dotąd baczności twojej.

— Cóż to takiego? trochę urażony, spytał prezes, prostując się.

— Zawszem była przeciwną temu, żeby Anna przywiązywać się miała i przyjaźnić z kimś tak niskiego pochodzenia jak Pola...

— Mościa dobrodziejo — odezwał się prezes — nie spodziewałem się, żebyś co pannie Apolonji zarzucić mogła...

— Dla tego aniola Anusi nie ma niebezpieczeństwa, przerwała pani Delrio... ale pan nie uważasz chyba, że pobyt w domu młodego człowieka tak pięknej i tak gwałtownych namiętności jak Pola, zagrażającym jest dla Juliana... on się w niej kocha!

Prezes niemniej to podobno widział od pułkownikowej, ale postrzegłszy się uprzedzonym, taktykę zmienił i rozśmiał się w sposób niedowierzający...

— On się kocha! a! pułkownikowo, zdaje mi się, że oczy twoje widzą więcej niż jest! Żywa, śmiała, dowcipna, mogła mu się podobać, może go bawi i rozrywa... ale.

— Ale ta rozrywka skończyć się może gorsząco i smutnie!

— Zdaje mi się, że gorliwość macierzyńska zaślepiła panią; Julian ma wiele taktu, zna jej położenie i swoje... widzi jaka przestrzeń ich dzieli... Zresztą, uczciwy człowiek... możemy być spokojni.

— Bądź pan spokojnym kiedy chcesz, ale mnie nie wzmówisz spokoju! Widziałeś prezesa, jak na siebie patrzali kiedy grała.

— E! gdyby się trochę i pokochał, zawołał prezes — możeby go to rozerwało, rozrnszało, ożywiło; następstw się nie boję... wywietrzeje mu to łatwo... a ja, kiedy już mówimy o tem, mam dla niego żonę.

Pułkownikowa zarumieniła się z niecierpliwości, że jej dzieckiem rozporządzano tak bez jej wiedzy, nudała, że nie posłyszała i z żywocią zwróciła się do Poli, której nie lubiła, zazdroszcząc jej nawet serca i przywiązania Anny. Zrazu dziecięciem bawiła ją wychowanka, lecz gdy małżeństwo wyгнаło ją z pod dachu, pod którym Pola została, zazdrość wzbudziła jakieś nienawiści uczucie.

— Pan się następstw nie obawiasz, bo ich widzieć nie chcesz, ale ja co od dzieciństwa znam tę dziewczynę, mam może słuszną się ich lękać... Daj Boże byśmy węża nie odgrzeli na piersi... zębna, nie brzydka, znając Julka, kto wie co ona tam śni! Ja widzę że mu

drogę zabiega, że się w sposób najpodlejszy przymila, chłopiec młody... ona go usidli, nie zaręczam, żeby nie miała myśli wyjść za niego, w takich głowach roztrzępanych wszystko się to wyrodzić może.

Prezes znowu się rozśmiał.

— Pani to bierzesz tak gorąco, rzekl... ale doprawdy ja Polę z tak złej strony nie sędzę, aż nadto często przypominam co nam winna i z kąd wyszła, ma rozsądek i niepodobna by przypuściła, że pozwolim na tak monstrualne ożenienie... dosyć już mezaljansów, — dodał z przy-ciskiem i westchnieniem, — mieliśmy w familji naszej.

Pulkownikowa zarmieniała się z gniewu, czując do siebie wymierzony pocisk. Prezes mówił dalej:

— Zresztą, oderwać ją od Anny, której jest potrzebna, osamotnić tego anioła dla jakichś przywidzeń... byłoby okrucieństwem! Anna ją kocha!

— To prawda, ale nie moja wina, że tak osobliwszym sposobem umieściła swą miłość!

— Niech pani będzie spokojną, czuwamy!

— Miałam sobie za obowiązek pomówić o tem z panem, zrobicie co się wam podoba; bogdajbym była fałszywym prorokiem, ale się obawiam bardzo złych następstw z ich zbliżenia!... Uczyniłam com była powinna, pan postąpisz jak zechcesz...

To mówiąc, bardzo ceremonjalnym ukłonem pożegnała prezesa, który niemniej grzecznie rozstał się z nią, uspokajając tonem żartobliwym.

— Niech pani się nie lęka... Pola jest dumną i nie zniży się do szczęścia nawet... znam ją dobrze, natura to namiętna, żywa ale szlachetna; zresztą gdyby taką nawet nie była, towarzystwo Anny musiałoby ją podnieść i oczyścić... Julian mało teraz będzie w domu... a

choćby tam była jaka płochostka dziecinna...

— Panowie zwykliście lekceważyć serce w człowieku, odpowiedziała pani Delrio — nie wchodzi ono w wasz rachunek... daj Boże, by potem nie przypomnielo się stanowczo z prawami swemi...

— Dobranoc, rzekł prezes, śmiejąc się... dobranoć... poradzimy i na serce, gdy będzie potrzeba. Niech nam to pani zostawi: zwracać na to zbyt mało uwagi, byłoby może właśnie środkiem rozniesienia gwałtowniejszego pożaru — to ogień słomiany... bnie i zagaśnie...

— Opalić wszakże śmiertelnie może — rzekła pułkownikowa i odeszła.

VII.

Nazajutrz Aleksy z Julianem wybrali się zrana do Szury, do pana Atanazego Karlińskiego, którego dotąd znany zaledwie z dawanego mu przezwiska dziwaka i z przysłanego w dzień imienin Anusi różańca z cierniową koroną. Mieszkał on prawie od młodości w majątku, o mil kilka od Karlina za rzekami, w ogromnych lasach położonym. W kraju naszym, który się stosunkowo niedawno jeszcze z puszczy nieprzebytych wyrąbał, są takie gdzieś tam pozostawiane trafem lub umyślnie obszary odwieczne, nienżyteczne wprawdzie, ale piękne, wśród których niemal amerykańską podziwiamy roślinność. Najwspanialszą w tym rodzaju jest bezsprzecznie puszcza białowieńska, po niej kobryńska, którą zdobią przestrzenie wielkie, jodłami na moczarach zarosłe; wreszcie lasy Polesia owruckiego, pińskiego i Polesiów wołyńskich. W takim to zapadłym kącie, przy wsi Szura zwanej, obrał sobie mieszkanie pan Atanazy Karliński. Od wie-

ków w posiadłości tej nikt z właścicieli nie mieszkał; należała dawniej do Lubomirskich, a Tymotusz Karliński wziął ją po żonie; że jednak któryś ze Śreniawitów, czy dla łowów, czy dla jakiejś fantazji przebywał tu czasami, świadczył stary wielki dwór drewniany, ogrody i sady, zrujnowana kaplica, pusty skarbczyk i zabudowania, których resztki znalazł tu pan Atanazy, objąwszy klucz z działu nań przypadający. Chociaż miał folwark z domem porządnym i w nie tak ustronnem miejscu położonym, Karliński obrał sobie Szurę za rezydencję; kąś ten dziki, cichy i spokojny, do charakteru jego i usposobienia przypadł nad wszystkie. Kazał naprawić trochę dwór, by go uczynić mieszkalnym, ogrodzić opuszczony ogród, wyrestaurować kaplicę i osiadł tu na życie całe, nie wychodząc prawie za obreń ogrodu i lasów swoich.

Pana Atanazego nazywano dziwakiem i nie bez powodu, nie był bowiem jak inni ludzie: z młodu na krótko wychylił się był z domu, woła rodziców wystany w podróż po Europie, później służył wojskowo, jeszcze stosując się do rozkazu ojca, ale zostawszy panem swej woli, porzucił świat i zagrzebał się dobrowolnie w osamotnieniu. Nikt dobrze nie znał wypadków jego życia i przyczyn które wpłynęły na kształcenie charakteru, jaki się skutkiem tajemniczych nczuć, zawodów i cierpień wyrobił. Zawczasu wyrzekłszy się tego co pospolicie zowią losem, towarzystwem, światem, pan Atanazy z kilką książkami, z kilką towarzyszami zamknął się w swojej Szurze i czas pędził na modlitwie, rozmowie i rozmyślanin. Ani interesami, ani gospodarstwem się nie zajmował. Z góry poglądał na drobne zabiegi ludzkie i śmiał się z nich szydersko; myśl jego cała była w wie-

czności, w żywocie przyszłym, w zagadnieniach tyczących nadziemskiego świata. Dla ludzi wyrozumiwały i łagodny, charakteru wzniosłego, zdawał się żyć tylko czekając śmierci i nie już nie spodziewając od ziemi. Jak dziecię potrzebował opieki, dawał władać sobą i za nie nie byłby się oderwał od tego trybu jaki przepisał sobie i do którego silnym przyrósł nałogiem.

Kochał rodzinę jak kochał świat cały, ale w rzeczach ziemskich nie roztkliwiał się nad nią, nie biegł dla niej z pomocą, życie i jego wypadki wając sobie lekce, jako rzeczy przemijające. Najulubieńszem jego czytaniem była biblia i mistycy; choć ortodoksus, pozwalał sobie w tym względzie tak dalece, że i protestanckich objawień, widzeń, rzutów oka w świat przyszły nie odsuwał; dla niego nawet w błędzie wielką wymówką była wiara głęboka, i zajęcie się światem ducha: wszystko przebaczał, krom obojętności na sprawę duszy i materjalizmu. Po-błażający dla tych, co o rzeczy sądzili inaczej, nieubla-gany był tylko dla zobojętniałych, w szyderstwo obra-cających wszelkie najważniejsze zagadnienia pozaświa-towe. Stosunków z ludźmi nie miał, nie szukał, unikał ich nawet, przekładając księgi i dumanie nad praktykę życia; to zaprzątnienie religijne zabiło w nim nawet wszelką chęć do pracy, odjęło ochotę do czynu i uczyniło go ascetą, pustelnikiem, istotą oderwaną od towa-rzystwa. Szura była prawdziwą Tebaidą, w której ledwie kilku ludzi umiejących się pogodzić z Atanazym Kar-lińskim, dotrzymywało mu towarzystwa. Przywykł był do nich, ale ochłodłe serce nie tak ich wszakże potrze-bowało, by się na żal po stracie lub jakąkolwiek dla nich zdobyło ofiarę; pojęcie życia miał tak silnie swoje własne, wiarę tak mocną, że na grobie zapłakać nie

mógł, i szeptał tylko: — Do widzenia. Człowiek ten zahartował się w rozmyślaniach do tego stopnia, że się słabości ludzkiej pozbył prawie zupełnie i lę rzadko postrzedz było można w oczach jego.

Obok tego kierunku mistyczno-religijnego, głębokiej wiary i żywej pobożności, Atanazy Karliński jedna tylko miał wspólną z wielą innymi słabość — gdyż inaczej nazwać tego nie umiem: wierzył w arystokrację, w jej odrębną misję na ziemi i płakał nad jej upadkiem. Umarli przodkowie w czci u niego zostawali na równi ze świętymi prawie, a krew co w żyłach jego płynęła, uważał za drogą spuściznę. Tłumaczył się z tego, gdy mu kapelan domowy, ksiądz Mirejko, Żmudzin, którego zaraz poznamy, oponował — przywołując Pismo: że Bóg zawsze wybierał pewne rody do przeznaczeń wyższych i kierownictwa ludźmi, że im szczególnie swe zsyłał dary, że ich namaszczał zdolnościami i dawał im jaśniejsze poznanie potrzeb czasowych, ster rządów w ręce, ster myśli i ducha... Z tego wywodził pan Atanazy prawność i potrzebę arystokracji w ogólności, jej konieczną egzystencję w każdym uorganizowanym towarzystwie, dając jej niejako stosownie do swych pojęć, pochodzenie religijne. Ale to go nie zaślepiało w uznaniu upadku jej za naszych czasów; Karliński tłumaczył go tem właśnie, że arystokracja zaparła się posłannictwa swego, uwierzyła w ciało, darów bożych użyła dla siebie i na swe przyjemności, a Bóg ją ukarał poniżeniem, skarceniem, utratą znaczenia i wpływn. Dowodził, że szlachectwo było także rodzajem kapłaństwa; mienie i znaczenie, imię i przywiązane do niego przywileje, były jakby fidei-komisem od Boga danym, nie na zysk własny tych, w czyje ręce powierzone zostały, ale na dobro

ogólne. Jak skoro niewierni przechowywacze skarbów obrócili je na samolubne zaspokojenie swoich potrzeb, odstąpił od nich duch boży, zeszło z głów ich błogosławieństwo, i ci co byli chlubą, stali się ludu pośmiewiskiem. Całe życie Karlińskiego budowało się niejako na tych zasadach, głębokiej wierze w nieśmiertelność i poszanowaniu siebie, jako potomka pokoleń, które Opatrzność namaściła do wielkich czynów: odbywał on niejako pokutę za grzechy dziadów, siedząc na ustroniu i oplakując upadek rodziny nie tylko własnej, ale wszystkich jej podobnych, gnijących bezużytecznie w samolubstwie, rozpucie, i zabywających, że przeznaczeniem tych co drugim przodkują, jest poświęcać się za nich.

Nie dla rozkoszy, nie dla zbytków, nie dla czwanięcia się bogactwy, mówił, Bóg wyniósł panów nad innych; ale dał im mienie, imię, władzę, siłę, by ich użyli na dobro, by przodkowali w świętem dziele zbawienia, niosąc za nie życie, bogactwa, krew na ofiare; jak skoro grosz dany na kupno dobra dusznego na wielką ucztę przyszłości niewierny sługa zmarnotrawił, wydając go dla własnej fantazji, kara zasłużona spotkać go musiała....

Juljan, przeczuwając jak dziwnie stryj jego wydać się musi Aleksemu, przygotowywał go niejako do pierwszego spotkania, opowiadając mu o nim to właśnie, cośmy tu powtórzyli, i nie postrzegli się oba jak przebywszy po najgorszych drogach długie lasów pasmo, wychylili się nareszcie z nich i wjechali w aleję staremi lipami sadzoną, za której zielonym szpalerem jeszcze domu spostrzedz nie było można. Z obu stron ulicy rozciągały się pola nie wielkie, poprzerynane łączkami, zaroślami, łąką, rowami, błotami, a smutny ale poważny krajobraz przedstawiał dokoła opasaną lasami ciemnymi

przestrzeń płaską, na której tle wioski dwie szare i kilka omszonych krzyżów się rysowały. Wielka nroczy-sta cisza pustyni, przerywana tylko świergotem ptactwa i dalekiemi trzód głosami, rozciągała się nad Szurą; w alei już pierwsze żółte liście nadchodzącej jesieni leżały pod pniami lip starych, droga mało uczęszczana, piaszczysta, ledwie kilką kolejniami przerznięta była. Julian i Aleksy spojrzeli po sobie i oba wysiedli z powozu, pieszo chcąc się zbliżyć do dworu, bo czas był prze-śliczny do przechadzki. I szli tak zadumani, aż póki się im nareszcie dziedziniec, dwór i otaczające go olchy, klony, sadzawki, zielone topole i czarne świerki nie ukazały. Smutne to było miejsce, coś miało cmentar-nego, ale czuł się spokój jaki tu panować musiał. Prze-bywszy główny kanał po starym długim moście, przy-byli najprzód w prawo drewnianą, dawną strukturą wzniesioną prostą kaplicę, której czarny krzyż żelazny najwyżej się podnosił; nieczem ona nie była powierzchow-nie ozdobioną, tylko dwa świerki rosły u wniścia, a u pni ich wielka, ciężka stała ława dębowa, do której przez opuszczony trawnik dziedzińca wiodła wydeptana ścieżka. Wprost był dwór obszerny, ale widocznie opu-szczony, bo i dach się podpsuł na nim i w wielu oknach lataniny niekształtne zdradzały obojętną rękę, co je po-robila, nieważając jak one będą wyglądać. Kilka ko-minów pietrzyły się nad wysokim dachem, ale od wielu lat nie pobielane, czarno wyglądały od dymów; po za dworem masy drzew wskazywały obszerny, zarosły ogród, starym jeszcze sposobem zasadzony w szpalery i kwatery.

Na prawo były stajnie, nieotynkowane i dosyć nie-pozorne; w lewo oficyna długa i mało co świeżej od dworu samego wyglądająca z pozoru. W dziedzińcu

puszka jak wymiółł, ni psa, ni człowieka, ni oznaki życia, tylko przy jednem z okien przyczepiona duża klatka ze szczyglami i kanarkami szczebiotaniem ich się odzywała. Julian i Aleksy napróżno oglądając się, szukali, ktoby ich powitał, wszystko było jak w jednym z owych zaklętych zamków w bajce zamarłe; przeszli dziedziniec, zbliżyli się do zamku, dostali się do sieni i nikt nie wyszedł naprzeciw nich, choć powóz toczący się za nimi zatnkrkotał na moście i tentent koni rozlegający się w dziedzińcu, powinien był rozbudzić nspionych lub pochowanych po kątach mieszkańców.

Przebywszy się pustą uzupełnia, po której znać było, że nikt w niej nie od lat stu może nie zmienił — ze smutnie gdakającym zegarem, z kilką wielkimi obrazami z historii świętej i olejno malowanemi skrzyniami, służącemi za składy pościeli i łóżka dla domowników — Julian z Aleksym weszli do wielkiej sali (której drugie drzwi wychodziły w ogrodową aleję), nieco ciemnej i ponurej, ale nderzającej powagą, jaką jej nadawały całe ściany zawieszone nieprzerwanym rzędem portretów familijnych. Był to zbiór jedyny w swoim rodzaju, nie ciekawy pod względem artystycznym, bo mała tylko ilość miała zalety pedzla, i ta bliższych już nam sięgała czasów, ale zebranych szczęśliwie pod względem charakteru, jakim się odznaczały te cienie pradziadów. Niech sobie mówią co chcą ci, co szukając ducha, zapominają, że nam go nie dano oglądać inaczej, tylko w powłoce cielesnej; pewna to, że twarze ludzkie odbijają na sobie nie tylko charakter indywidualny, ale pietno epoki całej. Strój nawet dopełniający fizjognomji, jakkolwiek zdaje się zależeć od fantazji i przypadku, jest znamieniem czasu. Sami o tem nie wiedząc, przystajemy

do odzieży, która nam jest nietylko materialnie stosowną, ale wyraża w pewien sposób to, z czego się przed światem wypowiadać musimy. Spójrzcie na szereg obrazów z nieznanej epoki jakiej, zastanówcie się nad nimi, pomyślcie, rozbudźcie w sobie uczucie, a postrzeżecie, że z jednego wejrzenia ogólną cechę czasu odgadnąć potraficie.

I w tym długim rzędzie przodków domu Karlińskich, prawda ta jasno bila w oczy; malarze, co ich rysy powtórzyli na płótnach, nie myśleli wcale o nadanie im umyślnego charakteru, często wyraził się on mimo nich, wybił na wierzch przez nieudolność i zwyciężył niedołężnego artystę. Po zasepionych czołach, po na wpół otartych z kurzawy i potu rysach, poznać było można łatwo mężów, na których ramionach wielki spoczywał ciężar, widać było, że nie spoczywali w wygodach i próżnowaniu; twarze ich nie mówiły wcale o wytwornej cywilizacji, o formie błyszczącej, ale o gruntownych zasługach i cnocie. Godła nawet portretów, nie próżne zabawki dumy, buławy, szablice, pastorały, laski, były to znaki brzemion, in-ignia poświęcenia. W ręku niewiast spotykalesz księgi, różańce, kwiaty, dzieci... wszystko co niewiasta dźwignąć może i powinna...

Starsze portrety malowały ludzi na wpół dzikich, bo zrosłych w boju więcej niż radzie: w miarę zbliżania się ku naszym czasom twarze weselsze, wytworniejsze ubiory, czoła jaśniejsze, raźniej uśmiechnięte usta, na ostatku zmienione stroje, rysy przerodzone, puder i peruki opowiadały całe dzieje rodziny i poniekąd kraju! Od niedźwiedzich delij i żelaznych pancerzy do koronek i brylantów — co za przestrzeń ogromna!

Przybyli mieli czas dobrze się rozpatrzeć w cieka-

wym tym zbiorze, który w zadumę wprawiał Juljana, porównywanego się mimowoli do tych, których żył inieniem, zasługą i majątkiem, sam nic nie zrobiwszy jeszcze; nikt bowiem nie wychodził na ich spotkanie, i ani chód ich żywy, ani głośna rozmowa, nie potrafiły sprowadzić żadnego sługi tego zakłętego dworu. Spojrzeli przez otwarte drzwi w ciemny ogród — i tam nikogo!

— Pójdziemy do księdza Mirejki, rzekł Julian — znam go trochę, bo czasami do nas ze mszą świętą przyjeżdża... on przynajmniej u siebie być musi, przypominam sobie, że stoi w rogu oficyny...

Wyszli więc z sali i dworu, i przez dziedziniec, na którym jeszcze żywej duszy nie było, skierowali się w róg oficyny, a zbliżając się ku niej, zasłyszeli razem ze swiergotaniem ptastwa w klatce, od strony ogrodu dochodzący ich śpiew, silną nucony piersią.

Juljan poznał głos księdza Mirejki, kapucyna, a wstąpiwszy już na próg oficyny, rozeznali nawet, że wesoło nucił godzinki do Niepokalanego poczęcia. Z korytarczyka śpiew ten wskazał im drzwiczki, przez które wejść mieli, i Julian zapukał, ale go nie rychło posłyszano.

— No! a kto tam z takimi ceremonjami! a proszę! a proszę...

Drzwi się otwarły i goście weszli do izdebki białej, malutkiej, patrzącej na ogród okienkiem, w której niewiele więcej było niż w celi kapucyńskiej. Łóżeczko pokryte prostym suknem, przy niem stolik z brewiarzem i pudełkiem do opłatków, chustka w kraty i tabakierka; stolik drugi, a na nim okulary i kalendarz z rubrycelą; na ścianie Chrystus w ramach debowych, u drzwi butel wody i butelka od piwa... W pośrodku, bliżej okna,

siedział ksiądz Mirejko i na klockach, przyrządziwszy sobie krosienka z dwóch krzeseł, wiązał pasek zakonny... Był to mnich wesołej twarzy, blondyn szpakowaciejący, z bródką rzadką i krótką, z bystremi oczyma szaremi, silny, zdrowy, i tak stworzony do tego habitu, jakby się w nim urodził. Ciał w pocie, bo dzień był gorący, a na śpiew piersi nie żalował, twarz miał rozpromienioną, a po wargach żarcik niewinny i rubaszny zdawał się blakać. Dość było spojrzeć, by go pokochać i w serce jego, ewangelicznej miłości pełne, uwierzyć.

- Ho! ho! zawolał rzucając klocki, które stukocąc opadły, — a to gość nie lada... i kiedyż to panu dobrodziej przyjechałeś? z kąd? jak?...

Juljan przedstawił mu Aleksęgo.

- Witam, witam! rzekł sciskając obu... siadajcie, jeśli jest na czem się usiąść, bo ja tu na gości nie rachuję... jak mi Bóg miły, nie ma na czem spocząć... Ale z kądże?

- Wprost z domu, i tylko co... ale u panów w tym klasztorze, rzekł Juljan, żywej duszy, gdybyś jegomość dobrodziej nie śpiewał Godzinek... a szczygły nie świergotały... głosyby żywego nie było.

- A pana chorążycza nie znaleźliście?

- Ani słychu, żywej duszy, powiadam panu dobrodziejowi... pierwszego księdza Mirejkę mamy przyjemność oglądać...

- Widać porozchodziło się to wszystko... rzekł zakłopotany klockami swymi kapelan, podając krzesła... pan chorążyc pod kaplicą lub zaczytał się może... ale żeby też choć pani Głóńczarewska nie wyjrzała oknem w dziedziniec i nie pchnęła kogo przeciw gościom... umiała usnąć nieboga... Cha! cha! — rozśmiał się ksiądz Mirejko... u nas tak zawsze: przyjedzie obcy, dobrze

nabładzić się musi nim kogo wyszuka... Klasztor mości dobrodzieju, klasztor, ale też żyjemy tu opodal od świata i trosk jego, jak u pana Boga za piecem...

— Jakże się ma stryj?

— Jak ryba, mości dobrodzieju! a czegożby miał chorować? żadnym zbytkiem nie zgrzeszy chyba ferworem w nabożeństwie, a to zdrowia nie ujmie... życie regularne jak w zegarku, nie brak niczego, troski nie dochodzą do Szury, i zdrowiśmy wszyscy, Bogu dziękować.

Tych słów domawiał ks. Mirejko, i zacierał ręce podnosząc je do góry, jakby się cieszył z bytu swego i Bogu zań dziękował, gdy drzwi się otworzyły i pani Gończarewska, ochmistrzyni wpadła do izdebki. Była to już dobrze niekuloda kobieta, chuda, żółta, bardzo skromnie ubrana, z ogromnym pękiem kluczków u pasa, w rękawiczkach dłuńskich z poobcinanemi palcami; w białym czepcu świeżutkimi szlarkami obficie oszytym, po którego kroju znać było, że się w Szurze o modę nie troszczono wcale. Mina jej, wielce poważna i surowa, okazywała niewiastę pragnącą sobie uadać pozór dobrze wychowanej osoby, pańskiego niemal obejścia; mimo stroju ubogiego, miała ochotę odegrywać rolę gospodyni domu. Bez wielkich oznak czułości, ale niezmiernie grzecznie przywitała Juljana, wstrzymując się od rozczulenia, które jej oczy zwilżało mimowoli. Tak jednak była przywykła trzymać na wodzy swe uczucia dla przyzwoitości i powagi, że zdaleka tylko dygnęła ceremonjalnie Julkowi, który się żywo do niej posunął... Pani Gończarewska, *de domo* Wilczkowska, miała szczęście być wychowaną na dworze księżnej marszałkowej i czuła się odtąd obowiązaną, dowodzić swoją osobą jaki to był dom wielki z którego wyszła... Najlepsze serce pokry-

wała w niej lodowata i surowa powłoka, ale takie miała pojęcie świata i jego wymagań, że nigdy po sobie nie okazała co czuła, przedewszystkiem usiłując być kobietą jak najlepiej wychowaną.

Ks. Mirejko, który wcale nie rozmyślał o formach, bo spokój duszy był dla niego celem jedynym, nie zważając na krygi pani Gończarewskiej, wstał z łóżka na którym był przysiadł i wykrzyknął:

— Horrendum! pani Gończarewska u mnie! a godzi się to nachodzić celę bezbronnego kapucyna!

Surowym rzutem oka skarciła go ochmistrzyni...

— Jak mi Bóg miły, odparł ks. Mirejko... poskarżę się chorążycowi... a to ślicznie! Kompromitujesz mnie pani w oczach przybyłych, o których zapewne nie wiedziałaś...

— Ale porzućże księżę kapelanie te grubjańskie żarty swoje — parsknęła nie żartem już do gniewu się zabierając pani Gończarewska... Proszę panów do pokojów... może czem służyć im będę mogła?

— Dosyć głodni jesteśmy! rzekł Juljan, z tem się nie taję...

— Proszę do sali, a ja zaraz i z objadkiem i z kawą nadejdę...

— Dobrze wiedzieć o kawie, to się człowiek także do niej przypyta! odchrząkując znacząco rzekł ks. Mirejko i dając *ad intende*, żeby i dla niego nie zapomniano o garuszkach śmietanki.

Uklonem sięgającym czasów księżnej marszałkowej pożegnała szybko ochmistrzyni swych gości, i pogroziwszy kapelanowi wyszła... Na progu krzyknęła... i wkrótce potem ze śmiechem na ustach wszedł do izdebki jakiś jegomość wielce oryginalnej postaci. Chłop był

duży, z wąsem zawieszistym i bokobrodami ciemno-orzechowemi, z oczyma czarnemi i błyszczącemi, rysów twarzy niepospolitych, i choć nie pięknych ale znaczących; wysokie czoło, nos orli, usta których żaden przyrównus nigdy nie wykrzywił, dawały mu jedną z tych fizjognomji jakie się częściej w obrazach niż w życiu spotykają. Coś w niej było silnego, samorządnego, niezależnego, rozumnego i natchnionego razem. Ale dla Ławaterzysty wyglądał raczej na organizację poety niż człowieka czynu, na dowódcę więcej niż na żołnierza... Pomimo ubogiej odzieży — przybrany był bowiem w lichą kapotę szaraczkowa niewidanym krojem uszytą, spodnie miał w buty i chustki mu na szyi całkiem brakowało — zdradzał się postawą i podniesieniem głowy jako człowiek przywykły nie podlegać rozkazom i żyć po własnej woli. Białe jego ręce i pleć nieogorzała dowodziły zresztą, że nie potrzebował pracować i wiódł rodzaj życia zamkniętego. Z powierzchownością opuszczoną naumyślnie, zaniedbaną, minę miał pańską wcale, a zamieszkanie może w tym kącie odludnym, w którym do nikogo nie potrzebował się zastosowywać i przypodobywać nikomu, nadało mu coś dziko swobodnego w ruchach i wyrazie twarzy, żywo malującej każde poruszenie wewnętrzne.

Kapucyn i Juljan spojrzeli na wchodzącego razem, pierwszy zawołał:

— Otoż powoli wszyscy się jakoś poznajdujemy!

Juljan podał rękę jak znajomemu przybyłemu, który siadł na wąskim łóżeczku księdza Mirejki.

Aleksy i nieznajomy zmierzyli się oczyma, a kapucyn zastępując roztargnionego Juljana zapoznał ich z sobą.

— Poznajcie się panowie... Pan Justyn Poddubiniec i pan Aleksy Drabicki... przyjaciel naszego pana Juljana.

Justyn nie silił się na grzeczności, wyciągnął rękę, ścisnął dłoń podaną i wlepiając oczy w Aleksego siadł znown na łóżeczku...

— A coś to wasze panią Gończarewską przestraszył? zapytał kapelan... dzień dla niej feralny, jam ją rozirytował żartami, a jegomość pewnie po swoim nie patrząc przed się szedłeś, i musiałeś może nderzyć...

— No! proszę... jak to jegomość ludzi znasz i z charakterem zgadujesz do czego kto zdolny... właśnie traciłiśmy się głowami we drzwiach... i dobrego sobie nabiliem guza...

Kapucyn plasnął w dłoń...

— Porządkaż dostaleś burę!

— Ale ba! gdyby nie wychowanie, możebym i klapsa oberwał, rozśmiał się pan Justyn...

— Otoż to gadu! gadu! a psy w krupach! — przerwał ks. Mirejko; gotowi podać kawę, i kawa ostyguie... Chodźmy do dworu... prócz tego, tu na tyle gości ciasno... Nie wiesz waść, panie Justynie, gdzie chorążyć...?

— Nie zgaduję, wziął kij i słomiany kapelusz, książkę pod pachę i w las sobie poszedł...

— To nie wróci aż zmierzchnie! machnawszy ręką rzekł kapucyn... tandem kawa się bez niego, a on bez kawy obejdzie...

To mówiąc wyszli razem, i gdy ks. Mirejko na klucz mocno stającę zaryglował, obawiając się zapewne o swój pasek i klocki, skierowali się ku dworowi powoli... Jeszcze tu żadnego ruchu nie było, tylko od mieszkania paui Gończarewskiej dawały się słyszeć desperackie jej wykrzykniki przez drzwi otwarte.

O! ja nieszczęśliwa! nikogo! bylam pewna! żywej duszy! tak zawsze! kiedy potrzeba jak wymiótł! Z tymi

ludźmi wyżyć niepodobna, wstyd zrobić najlepiej urządzonemu domowi... pomyśla, że żyć nie umiemy!! Żadnego! żadnego! ni komu podać! ni komu nakryć! Chryste ukrzyżowany, co ja znoszę! co ja znoszę! to do rahi tylko twoich ofiarować można!

Wielki frasunek pani Gończarewskiej rozśmieszył kapucyna, który ramionami ruszył tylko... poszli do sali i zasiedli w niej oczekując obiecaney kawy, a że tymczasem musieli się rozmową zabawiać... i wszyscy czuli jej potrzebę, jak na złość im jakoś nie szła.

Goście z kapucynem przebąkiwali to o tem to o owem, pan Justyn zaś rozparłszy się i głowę na rękę złożywszy zadumał milczący. Ksiądz Mirejko kilka razy przechodząc koło niego ramionami ruszył, nareszcie stanął i zawołał:

— Budze waćpana...

— W jakim kolorze? zapytał Justyn...

— W niebieskim, bo asindziej o niebieskich marzysz migdałach...

Delikatna wymówka, a jegomość dobrodziej chciałbyś żebyś się jak dym po ziemi włóczył?

— Ej, panie Justynie, nie każdy po niebie lata, kto sobie skrzydła przyprawi! Co waszeć wymyślisz, ustawicznie medytując?

— A cóż mam robić lepszego?

— Z waćpanem nie ma co gadać — odwrócił się ksiądz Mirejko — otbyś gości zabawił!

Justyn się rozśmiał — i gdyby nie wejście pani Gończarewskiej, byłby może w dysputę głębszą zaszedł z kapelanem, ale w samą porę zjawiała się na progu ubrana w chustkę bagdadzką, wyraźnie dla gości włożoną, i czepek, innego mniejszego nieco kalibru ale wy-

tworniejszej roboty, pani ochmistrzyni. a za nią taca, którą niósł wynaleziony gdzieś rozespany sługus wcale nie popańsku przyodziany, z serwetą pod pachą i pospiechem świadczącym, że mu się dobra bura dostać musiała.

Pani Gończarewska, przeszedłszy krokiem drobnym pokój, usiadła twarzą uśmiechnioną do gości i zaciera-
jąc ręce, poczęła rozmowę od zapytań o Karlin i jego mieszkańców.

— A kawa styguie! przestrzegł ksiądz Mirejko... a panowie głodni; kiedy już ten napój Bóg dał na stół, i sucharki z cynamonem widzę, nie próbujcie asani dobrodziejka cierpliwości naszej!

Pani Gończarewska poczęła nalewać, wszyscy się zbliżyli do stolika, gdy w sali od ogrodu poważny i powolny krok dał się słyszeć, zmierzający ku drzwiom pokoju w którym towarzystwo zasiadło; oczy wszystkich zwróciły się w tę stronę... a na progu ukazał się słuszny, chudy mężczyzna w kapeluszu słomianym na głowie, z kijem sękatym w rękę i wielką księgą pod pachą... Był to pan Atanazy Karliński.

VIII.

Wystawcie sobie jednego z tych purytanów z czasów religijnych reform w Anglii, surowego, bladego oblicza, oczu zagasłych chwilami, chwilami ogniem ascetyzmu gorejących, na którego twarzy wyryte jest życie umar-
twień, rozmyślań, życie ducha, usiłującego podbić i zwyciężyć ciało — takim był Atanazy Karliński. Powaga tej postaci z dwojakiego plynęła źródła: nadawała ją pobożność, a zarazem jakaś duma rodowa, która i z pod włosienicy pokutnika przeglądała... Człowiek ten jedną

jeszcze słabostką tylko pozostał człowiekiem: na ruinach namietności, na pogorzelisku uczuć, stała duma jak niedopalona kolumna... Resztę w popiół obróciła pobożność, tej zmódz i powalić nie mogła.

Twarz jego, twarz zawczasu zgrzybiałego starca, bez barwy, pomarszczona, surowa, zamyślona, miała wyraz ponury, srogi, nienbłagany i jak u wielu ludzi przywykłych uciekać w głąb siebie, przybrała charakter osłupienia... Znać było na niej, że żadna troska ziemską nie mąciła spokoju duszy wyżej nad pospolitą sferę wzniesionej, ale niedopuszczającej, by z nią inna na równi stanąć miała. Ubranie pana Atanazego było niepozorne i wiejskie; na piersi tylko uderzał na czarnej wstędze krzyż żelazny, opleciony koroną cierniową, podobny do tego, jakimśy widzieli przy Anny różańcu ..

Zamyślony gospodarz wszedł tak aż na próg, nikogo nie widząc; rozbudzony, postrzegłszy nieznanego Aleksego i niespodzianego Juljana, powoli z głowy zdjął kapelusz, odkrył skronie siwizną przypruszone i rzuciwszy kij i księgę na krzesło, dosyć obojętnie powitał wszystkich.

Na widok jego, kapucyn, który był w różowym humorze, spoważniał, ochmistrzyni jeszcze się bardziej wyprostowała, a Juljan pospieszył ucałować jego rękę i Aleksego mu przedstawić.

Wszystko to przyjął zimno pan Atanazy, siadł na podanem krześle i skrzyżowawszy ręce na piersi, dość długo pozostał w milczeniu, jakby jeszcze pasmo przewranych myśli chciał dosnuć, nim się do ludzi odwróci.

— Rad jestem, że cię widzę kochany Juljanie, odezwał się po chwili—często przychodziłeś mi na myśl... mamy wiele do mówienia... wiele... czułem, że przyje-

chać powinienes, gotowałem się na to... Spocznij... ale cie nie puszcę rychło... mam względem ciebie surowe i wielkie obowiązki...

Juljan się zarumienił, a stary wypowiedziawszy tych słów kilka, zamilkł, spuściwszy głowę; wszyscy szanując zadumanie jego, milczeli także... Westchnął i wzięwszy znowu kij i księgę swoją, niezważając już na nikogo, poszedł do dalszych pokojów.

— Czegoś pan chorążyc smutny, rzekł kapucyn... musiał gdzieś trafić na niezgryziony orzech w jakiej filozofji... Dalipan, wyjąwszy katechizm, brewiarz i parę jeszcze tomów, jabym te książki popalił, dodał rubasznie— głowę balanną, choćby najlepsze były... Ot i pan chorążyc... modliłby się, żyłby spokojnie i nie troszczył, co tam kto za dzinre gdzie rozumnem prześwidrował; nie! jemu potrzeba pozatykać koniecznie, któredy mu chłód zawieje.

— A jegomości potrzeba to ganić, coby chwalić wypadało, odezwał się Justyn — a coby robił lepszego? co? polowałby i grał w karty? jadł? pił? na to jest i tak dosyć konsumentów...

— Pana Boga by chwalił! zawołał kapucyn — ot co! jak Bóg miły! lepiejby było! niż sobie męki zadawać około czczych ludzkich wymysłów.

Justyn ruszył ramionami.

— Ojcie a dobrodzieju, rzekł, każdy ma swoje na świecie przeznaczenie: jeden kuleje na nogi, a w roku ma siłę; drugi niedostłszy, a wzrokiem bystrym chodzi daleko... temu Bóg dał strawny żołądek, innemu czułe serce; w wielkim chórze jeden z nas basem ryczy, drugi dyszkantem śpiewa... i tak dobrze... Wszystkich do jednej roboty zaprzadz nie można.

— Ot toś mi nowinę powiedział! ofuknął się kapucyn, biorąc już czwarty sucharek, na co z przestachem patrzała pani Gofczarewska — tak to jest po ludzku, a po bożemu wszyscy nogami, rękami, oczyma i nosami jedno robić powinni, do nieba się drapać.

— Nie jestem przeciwko temu, ależ spodziewam się, że i nasz pan nie gdzieindziej zmierza.

— Tak! tylko coby miał sobie prostą obrać drogę przez westchnienie i modlitwy, to błądzi, rozumem ludzkim chcąc się dyrygować w labiryncie, jakby w biały dzień osłoniwszy się od słońca, używał latarki...

— Oho! wchodząc przerwał pan Atanazy, już tu pewnie ksiądz Mirejko przeciwko mnie argumentuje!

— A cóżbym robił? odparł niezmiészany kapucyn... Pan swoje robisz, ja swoje gadam... a tymczasem i muchę w kawie złapałem... mniej jednym będzie na świecie darmozjadem...

Starzec usiadł przy Juljanie weselszy nieco i począł się w twarz jego wpatrywać... ujął go za rękę łagodnie, łza zakręciła mu się w oku, wyprowadził go za sobą powoli do sali portretowej.

— Kogożeś mi tu z sobą przywiózł? zapytał — uczciwa twarz, roztropna, ale coś plebejuszowskiego ma w sobie?

— Debry mój towarzysz i przyjaciel, odparł Julian, taki szlacheć jak i my...

— Jak my? z podziwieniem rzekł stary — jak my?

Juljan się uśmiechnął.

— Jeszcześ młody — szepnął pan Atanazy na stronie — no, ale kiedy dostąpił honoru twojej przyjaźni... dość mi na tem, sądzę, że jej godzien... Trochę mi moją ożywiecie samotność; nie pragnę ludzi, mało ich

kocham, ale kiedy mi Bóg zesze takich jak dziś, dobrze mi czasem przed nimi się wygadać, myśl pokrzepiona buja i nabiera potęgi...

Stary pocałował w czoło Juliana i pobłogosławił go mileżący, łza znowu zakręciła mu się w oku.

Nie śmieli znajdujący się w drugim pokoju przerwać rozmowy panu Atanazemu z synowcem, a że kawa była wypita, pani Gończarewska do swego gospodarstwa, ksiądz Mirejko do wieczornych odszedł pacierzy, zostali tylko Aleksy z Justynem. Ci rychło przyszli jakoś do siebie, gdy niespodzianie odkrył przybyły w mieszańcu tego dzikiego kąta, niepospolitego pod bardzo pospolitą postacią człowieka. Justyn Podlubinieć, którego pochodzenie nikomu dobrze znauem nie było, od dzieciństwa prawie wzięty na wychowanie przez pana Atanazego, kosztem jego odbył szkoły, uniwersytet i jeździł nawet za granicę. Starania około jego ukształcenia nie były daremne, uczył się bowiem z zapalem, korzystał wiele; ale na nieszczęście, czy skutkiem wpływu, jaki nań wywarł przykład opiekuna, czy usposobienia wewnętrz-
nego, Justyn uzdolniony do wszystkiego, ani powołania, ani drogi sobie nie obrał; natura go stworzyła poetą, usłuchał jej głosu i był nim w swój i sobie tylko właściwy sposób. Gdyby się był na jakie tysiąc lat urodził wprzód, byłby z gęsłą w ręku szedł od chaty do chaty śpiewając stare dzieje, marząc, przysłuchując się głosom tysięcznym stworzenia, i zmarłby gdzie na mogile, ostatnią pieśnią żegnając zachodzące słońce... Dziś, nie wiele inaczej i nie więcej robił, czytał, pisał, przestawał z ludem, myślał, marzył, i tak się swoją przyszłością, sławą, chlebem powszednim i losem nie troszczył, jak gdyby nic więcej nad to, co mu Bóg dał, nie potrzebo-

wał. Człowiek to był szczęśliwy, jeśli jest gdzie szczęście na ziemi, niczego bowiem nie pragnął nad to co miał, żadna go żądza nie paliła, śpiew własny mu wystarczał i co dzień wstając i kładąc się dziękował Bogu, że go stworzył poetą. Często dnie całe spędzał w lesie, wpatrując się w krajobraz, niebo i słońce: często zaczytany w poecie, zapominał o wszystkim, a pani Gończarewska, ksiądz Mirejko i sam pan Atanazy jak nad dzieckiem czuwać nad nim musieli.

Nie pragnął nawet tego współczucia i pochwał, któremi żyją pospolici pisarkowie; nie czytał chyba zmuszony, nie popisywał się nigdy. Wrażliwy jak dziecko dla pięknego obrazu, dla pieśni, dla nowego widoku, porzucał i zapominał wszystkich, i nie raz go po okolicy jak zbłąkanego konia szukać i do Szury nazad sprowadzać musiano. Na żadną boleść nie stęknął i tem szczególniej różnił się od pospolitego tłumu śpiewaków, którzy nieustannie boleścią rany swoje opiewają, że mu był jego nie ciężki, że w darze Bożym, w tej iskrze świętego ognia, która gorzała w jego piersi, znajdował wynagrodzenie sowite za wszystko.

Nieraz w książce, w pieśni znalazłszy narzekanie na świat, na ludzi, a nadewszystko na niedostatek, ubóstwo, unosił się gniewem potężnym...

— To nie są poeci! — wołał z zapalem... gardzą światem a pragną dóbr jego, pomiatają złotem a żebrzą o nie... skarżą się, boleją, gdy hymnem dziękczynienia Bogu za jasną swego czoła koronę błogosławić powinni. To nie są poeci! oni udają i małpują śpiewaków... bo nie śmieliby ust otworzyć na takie narzekania, nie dopominaliby się u świata tego co deptać powinni!... Poeta nie ma czego zazdrościć inaczej uposażonym, tak dalece

wyżej stoi, tak więcej czuje i widzi... Szata jego tkana ze światłości, wiekuista, piękniejsza jest od wszelkiego stroju ludzkiego, jego wieniec trwalszym od koron... Jego myśl i uczucie podnoszą go na tron, z którego do Boga się zbliża... godził się płakać, narzekać i cierpieć dla dziecięcych zabawek, które są martwe, zimne i w proch rozsypują się w dłoni co je chwyciła?...

Justyn był surowym sędzią, a że żywota od poezji, która w nim zespoliła się z życiem całkowicie, rozdzielić nie umiał, pytał o życie poetów i wzdrygał się, gdy je uznał niegodnym swego ideału.

— Zaprzęgli się do pług, mawiał, i stanał bydłety...

I potrzasał dumnie głową, jakby chciał mówić milczącym wejrzeniem, że nigdy się nie sprzeda za żadne zwodnicze obietnice świata, na które z góry spoglądał...

Biedny Justyn, tak mało jeszcze znalazł siebie i życie!

IX.

Po wieczerzy bardzo skromnej i prostej, gdyż w Szurze życie nie było wytworne wcale, a o wymyślnych wygodach nikt nie marzył, pan Atanazy z Juljanem, Aleksym, Justynem i księdzem Mirejką weszli do sali portretów. Godzina już była dość późna, ale tu często nocę spędzano na modlitwie lub rozmowie, nie wiążąc się wcale rozmiarem pospolitym czasu; wieczór gwiazdzisty, piękny i spokojny, wzbudzał jakąś tęsknotę nieopisaną, otworzono drzwi szklane do ogrodu; szum starych drzew wszedł przez nie razem z chłodem i wonią rosy nocnej, pan Atanazy począł zadumany chodzić po sali, niekiedy spoglądając na synowca. Juljan milczący patrzył z poszanowaniem i zawsze równem zdumieniem

na tego starca, który mimo swych dziwactw, żyjącą w nim wiarą i myślą, większy mu się od pospolitych, otaczających codziennie istot wydawał.

Jakiś czas trwało milezenie głębokie. Justyn zapatrzył się w gwiazdy, ksiądz Mirejko bawił się paskiem swoim i różańcem kokosowym, Aleksy przyglądał się ciekawie gospodarzowi, który na nim robił wrażenie z grobu powstałej postaci... nikt słowem nie śmiał przerwać chwili ciszy, nroczystej jak modlitwa. Nareszcie pan Atanazy stanął przed Julianem i począł głosem drżącym:

— Co myślisz Julianie, powiedz? masz jakie zamiary na przyszłość?

— Żadnych dotąd, kochany stryju... pracuję około interesów... jestem opiekunem Anny i biednego Emila, spełniam obowiązki i nie wolno mi może spojrzeć dalej i wyżej...

— Nie wolno? jak to nie wolno — odparł pan Atanazy — a kto ci zabroni? Mój Boże! Boże mój! co z was zrobił ten wiek zaprzątnień cielesnych, zepsucia i obłąkania! Obowiązki, które spełniasz, są tylko częstką mniejszą tych, które ciężą na tobie... Jak biedne macie pojęcie swego przeznaczenia! Siedzieć, gospodarzyć, zbierać grosz, i żyć sobie i swoim! To dobre dla pospolitego człowieka, ale nie dla potomka Karlińskich... Julku kochany, jesteś na drodze, na której rodzina nasza doszła do smutnego stanu, w jakim ją widzimy. I tyś w błędzie jak poprzednicy, jak wszyscy...

Łza zabłysła w rozognionem na chwilę oku starca.

— Wprzódzy niżeli o sobie i swoich, potrzeba myśleć o duszy — rzekł powoli — trzeba spełnić swe posłannictwo; reszta fraszki, dzieciństwo i dodatki. Obowiązki

względem ludzi większe są moralne niżeli cielesne; ty i twoi właśnie o tych tylko ostatnich myślicie, niemi się ograniczacie. Sinucę się, boleję, płaczę łzami gorzkiemi patrząc na wasz upadek duchowy. Łamiecie sobie głowy jak kupcy i tandeciarze nad podźwignieniem fortuny, nad zbieraniem grosza, który jest znikomą fraszką, a nie nabywa się wolą człowieka ani jego rozumem, tylko datkiem Opatrzności; zapominacie dla niego, że imię, majątność, oświecenie, są to dary obowiązujące do czegoś... Co robicie? bawicie się, nudzicie, ziewacie, pragniecie tego co was nigdy nie napoi, a marnie szafujecie czasem, z którego, wedle słów Chrystusowych, przyjdzie zdać surowy rachunek.

Juljan wpatrzył się w starca ciekawie, ale mu odpowiedzieć nie śmiał, czuł sprawiedliwość tych wyrzutów i bezsilność swoją.

— Żebyś to ja, mości dobrodzieju, przerwał ksiądz Mirejko, zażywając głośno tabaki — mówił takie rzeczy z ambony, toby to było pięknie i stosownie, ale panu chorążycowi — dalipan w moje prerogatywy wciskaćby się nie godziło...

— Wszyscyśmy kapłani — odręczając żartobliwy kirenek, jaki kapelan chciał nadać rozmowie, odparł poważnie Karliński — wszyscyśmy zarówno obowiązani mówić prawdę i kierować ku dobremu.

— Wszyscy kapłani! wykrzyknął ze zgrozą ksiądz Mirejko — a to coś nowego... jak mi Bóg miły, to już bezbożnością pachnie!

— Jeśli kto, to ludzie mający wielkie przykłady i sławę przodków przed sobą, mówił dalej starzec, nie zważając na przerwę — większe od innych dźwigają obowiązki, nie ziemskie ale duchowne. Znasz ty historie

swojej rodziny, zapytał przystępując do synowca — opowiadałem ci ja ją kiedy?

— Znam ją trochę, ale niedokładnie, rzekł Juljan, i radbym się jej lepiej nauczył...

— Patrz, oto żywa przed tobą! — rozgrzewając się i ręką drżącą wskazując na portrety rozwieszone w sali, podchwycił gospodarz — uchyl czoła przed bohaterami, pomódl się za grzesznych, ulituj nad obłąkanymi, i ucz się co masz czynić! Pan Bóg nic nam nie dał darmo i dla próżnej tylko zabawki; przodkowie nasi, to dług, któryśmy synom spłacić powinni, to spuścizna święta; ale kto dziś z równych nam rozumie swoje obowiązki tak jak je pojmowano dawniej? Nikt! nikt! idziemy do zaśłepienia i zguby... Kto ręką nie pracuje, temu ręka niezdatna usycha, kto duchem nie działa, od tego duch boży odstąpi.

Wszystko na świecie ma znaczenie swoje, nic nie jest daremną igraszką; instytucje ludzkie takimi się nam wydają z poziomego stanowiska materjalizmu, ale ręka Boża jest we wszystkim. Mamy wolę, ale tę ogranicza prawo jej bytu, jej natura...

Jedni pracują na chleb powszedni w prostocie ducha, w pocie czoła, drudzy wiedą tłumią za sobą na gościńce przyszłości; ten się modli, ów prorokuje i krwawym potem oblewa w widzeniach prób, przez które ludzkość przechodzić musi... Są ludzie, są rodziny palcem Boga naznaczone, a komu Opatrzność powierza sterowanie i kto go nie spełni, ten upaść musi, powracając do nicości, z której go łaska wyniosła.

Patrz Juljanie, dodał starzec... na co zeszli Karlińscy... na hreczkosiejów, na oraczy, na prawników, na lalki jakieś uśmiechające się do słodyczy... a dalej stana

się z nich ubodzy duchem i niedzarze, pójdą w pośmie-
wisko i potęgę. Tak nie z nami dzieje się tylko, ale
z całą podobno arystokracją świata; obok wyrastają lu-
dzie nowi, nasienie przyszłości; a my starcy cośmy po-
dań i nakazów Bożych zabyli, zejść musimy z placu
boju, z pola czynu, na cimirów i służki obozowe, ugania-
jące się o łup i odzierające trupy pobojowiska.

Posłuchaj czemeśmy byli; nikt ci pewnie nie mówił
o przodkach, a i ja, nie w dumę cię chcę wbić przez to,
bo duma jest uczuciem szatańskim i niszczącem — ale
upokorzę cię nimi i przygniotę, pokazując nicosć naszą
dzisiejszą. Ci ludzie wszyscy coś zrobili pamietnego,
wiedząc czy nieświadomi czynu, działali, byli narzędziami
posłusznymi w roku Bożem, lub samoistnemi istotami,
ale nie zeszli ze świata bezpotomnie, próżno; — po
każdym coś pozostało.

Spojrzyj na tę twarz surową, dzika niemal, ze szra-
mem na czole, w czerwonej jak krew sukni, w ciężkiej
odzieży; nie ma na niej śladu wypieszczenia, zniewie-
ściałości, zgnuszenia występnego... Brzydkiem się nam
wydaje ten człowiek, bo piękności jego pojąć nie mo-
żemy; ale wpatrz-no się w to oblicze, rozmyśl nad tą
twarzą, rozważ życie, a olśni cię wspaniałość rysów, na-
piętnowanych silną wolą i niezłomnym charakterem.

To Hrehory z Karlina, pierwszy, o którym z naszego
rodu mamy pewniejszą wieść i puściznę... od niego to
zwaliliśmy się *Szyjowi*, chlubiąc pocziwą raną, którą
w szyję otrzymał; bratem był Abrahama, co za sobą
wiedzie linje Kasprowych Karlińskich, równie jak my
Ostoitów... a od nas jeszcze poświęceniem bohaterskiem
głośniejszych...

Hrehory nasz i Abraham rodzili się już za Jagiello-

nów, z potomka owego Ostoi, którego miecz z Bolesławowskich jeszcze czasów w herbie naszym stoi pomiędzy dwoma księżycami. Nie nie powiem o Abrahamie, choć i tym słusznie byśmy pochlubić się mogli. Hrehory był jedną z tych mężnych piersi, które zastawując się ostatkowi dzieży tatarskiej, już wstrzymanej, ale niepokonanej jeszcze, walczyły dla spokoju Europy. A! srogą się niewdzięcznością wypłaciły dzieje całej Słowiańszczyźnie; spojrz dziś w uczone prace historyków niemieckich, jak tam wygląda plemię nasze?... Losy ludzkości, według tych pedagogów, były zawsze w ręku plemion romano - germańskich; myśmy niepotrzebne, pasożytne, nie samoistne, bezmyślne tłumy, bez znaczenia w historii, bez roli i posłannictwa, dla tego, żeśmy z Zachodem nie szli na wojny krzyżowe!! żeśmy nie mieli udziału czynnego w żadnym z wielkich, bohaterskich, brzemennych przyszłością ruchów świata, i patrzali niby okiem obojętnem z naszego zagona na lejące się rzeki krwi, na walkę o przyszłość... Zapomnieli ci panowie, że pod tę porę właśnie, w czasie tych samych wojen krzyżowych, Słowiańszczyzna, którą pomiatają, na barkach swoich dźwigała i wstrzymywała potok najeźdców groźnych światu, że tu w głębiej naszych lasów ciszy, krwawe a mienstanne wrzały boje dla zasłonięcia niewdzięcznych, co za krew przelaną odmówią nam nawet grobowca... bo i grobowce dziadów naszych sobie przyswoją, są to dziś Hunnów groby. Biedni Słowianie! ich udział jest prawdziwie ofiarą, nigdzie go nie widać, choć potężny był wszędzie; starty, przetrawiony, przerobiony, przywłaszczony pierwiastek nasz rozsiał się po całym świecie, a ci co się nim wykarmili, co go pożarli, dziś bryzgają nam w oczy wyrzniętem niesamoistości. Język

prawa, zwyczaje, myśli nasze i zdobycze, stały się łupem Niemców, co na ziemi wyfrymarzonej osiadłszy, szydzą sobie z tych, których duchem i krwią przyszli do życia.

Ale dość tego, sprawiedliwsza przyszłość rozsądzi tę wielką sprawę plemion... czekajmy jej wyroku cierpliwie; może i nas powołają dzieje znówu do głośniejszych czynów i zaważym wówczas na szali świata.

Hrehory Szyjowy, nasz protoplasta, był czasu swego sławnym wodzem i wojownikiem; jego to rany wysłużyły nam innię, majetności, sławę i znaczenie późniejsze. Pozostała nam po nim wola jego ostatnia, która jest pięknym pomnikiem prostoty owych bohaterskich czasów; ogromną przestrzeń ziemi zostawił po sobie synowi, ale nie przekazał mu skarbów i kosztowności. Przyjaciółom i powinowatym rozpiśał kilka koni, rzędów, siodeł i rusznic wysadzanych, królowi posłał łuk i kołczan, które na barkach nosił starym zwyczajem, synom dał tylko dwie szabllice do dalszej walki za wiarę i kraj rodzinny.

Hrehory żonaty był z kniaziówną Glińską, ale krwią będąc połączony z człowiekiem, w którym duma i samolubstwo głośniej mówiły od sumienia, nie dał się wciągnąć do zdrady... od dnia odkrycia jej, stał się wrogiem brata żony i do walki z nim prosił się i wyrwał. Życie jego było długie, ale ani godziny nie spędził na spoczynku, bo czuł i wiedział, że do niego nie mamy prawa na ziemi. W dwudziestu leciech już siedząc na koniu uganiał się za Tatarami; gościem odtąd był tylko w domu, nie pomyślał nigdy o sobie, o gospodarstwie, o zostawieniu synom obszernych włości i zamczystych skrzyń złota... Między jedną a drugą wyprawą, między dwoma sejmami, poselstwem i utarczką,

zawadził czasem o zameczysko w Starym Karlinie, na kilkanaście godzin zbiegając do żony i dzieci. Ostatni często grosz, zbierany przez swoją gospozię, zabierał na potrzebę Rzeczypospolitej, gdy skarb wydolać nie mógł wszystkiemu; a ofiary te robił sercem tak ochotczem, nie targując się ani o krew, ani o grosz, ani o zapłatę zasług swoich, jakby on za nie ojczyźnie, nie ona jemu była obowiązana...

To też inni przed nim ubiegali wszystko: starostwa, krzesła, laski, buławy, ale nikt nie prześcignął go w posłudze. Życie domowe było dlań, rzecz można, dodatkiem, stroną drugą mniej ważną żywota, podrzędną troską, a potrzeby serca nawet, milczały przed głosem poświęcenia i ofiary nieustannej. Z siedemdziesięciu kilku lat jego życia, nie wiem czy prócz kilkunastu pierwszych, choć kilkaby się zebrało, spędzonych pod strzechą domową. Wszędzie był gdzie bić się, radzić, płacić i służyć potrzebowano; żona tęskniąc wychowywała mu synów, dbała o stado jego i zbierała daniny, przędąc kądziel u samotnego ogniska... Gdy bardzo zatęskniła za Hrehorym, to go po świecie szukać musiała, wyjeżdżać przeciwko niemu, łapać go po drodze, gonić za nim do Wilna i Krakowa, a nie śmiała mu wyrzucać, że ją i dom opuszczał, bo wiedziała, że pierwsze nad rodzinne obowiązki gnały go po świecie białym, spocząć mu nie dając...

Śmierć Hrehorego Szyjowego była tak piękną jak jego życie; starzec już, jeszcze ani pragnął spoczynku, ani chciał go sobie dozwolić; szukał pracy, wywoływał coraz inną, nastroczał się na nią, a tak był już przywykł do konia, że choć go nań sadzać musiano i zdejmować, bo o swojej mocy już się dźwignąć nie mógł—

całe dnie przecie z kulbaki nie złaził. W 1575 roku właśnie był testament swój uczynił, którym dzieci rozdzielał, gdy chwilowo przebywającemu w Starym Karlinie dano znać o wtargnięciu Adel-Giraja. Inni poczęli się chronić w lasy, on co rychlej poczty zbierać kazał i ścigając, co tylko na prędce zgromadzić się dało, poszedł za późno już, w pogoń za dziecią. Dzień i noc gnał się za nią starzec napróżno, bo Tatarzy obyczajem swoim, łup i ludzi zagarnawszy, szybko się cofnęli ku stepom.

Strudził go ostatni wysiłek, a może dobiło zmartwienie, bo pokrewnego mu Szumilancea wzięli w jassyr Nogajcy; trzeciego dnia pogoni zaniemógł stary i na kulbakę się zwiesił, musiano go niemal gwałtem zwrócić do jakiegoś dworku nad drogą, zdając na innego dowództwo. Hrehory niepokoił się wielce, że bez niego pogoń dalsza odbyć się musi, że może nie tak szybko i skutecznie, jak on chciał, ją poprowadzą, ale musiał się zgodzić z wolą Bożą, gdy poczuł, że go siły opuściły całkowicie. Pod ubogą endzą strzechą, przyjąwszy Sakramenta, wyzłaził ducha bohaterskiego, a dłoń żony ani dziecka, oczu mu nie zawarła; ścierpiał to nie stekając i położył się po męsku na spoczynek wieknisty. Ciało jego, wdowa pieszo idąc przed wozem, przewieźć kazała do Karlina...

Tak czynnego i zajętego publiczną posługą, jak było jego życie, znaleźć trudno; wszędzie go masz, gdzie tylko powołuje sprawa wspólna; zdaje się, że za nieznanym swych dziadów i pradziadów, później od innych będąc powołanym, zapłacić chciał głową i ręką.

Począwszy od bitwy pod Sokalem, gdzie owo sławne ciecie w szyję otrzymał, za które Tatarowi odpłacił, na

wpół go rozplatawszy jak szczupaka, żadnej nie munał potrzeby... Tuż zaraz, ze świeżą jeszcze blizną, już go z Firlejem widzimy w Prusiech, aliści w prędkie potem na Rusi z Tatarami się nciera, w przestankach żeby nie spać, na Litwie, byle harc zasłyszal, probuje szabli.

Czasu pokoju jeździ, posłuje, komisarzuje, nczy się, nie spoczywając chwili. Z Tarnowskim był pod Obertynem, gdzie znown szramą przez łeb od Wołocha został naznaczony, a było to cięcie nie lada, bo z niego pół roku się lizał, i zawsze czuł po niem bole w nadwerezonej kości. To mu jednak nie przeszkodziło bronić Czerkasów z Daszkiewiczem i być na wyprawie z Radziwiłłem i Tarnowskim, a potem ncierać się znown nad Seretem. Mało znane są napaści tatarskie w ostatnich latach panowania Zygmunta starego i pierwszych syna jego, choć czastkowe i drobne, ale prawie nienstające: były to harce pograniczne, nie mające rozgłosu wojny. choć w nich życie narażało się jak w wielkich bojach; Hrehory szczególniej je lubił i żadnych z tych godów nie opuścił bez udziału. Nikt tak może nie umiał jak on zacząć się, zaskoczyć i podejść, a w potrzebie czoło postawić i twardo placu dostać. Gdzie on był, pewne zwycięstwo, bo życia nie szacował i panu Bogu je ofiarując za grzechy, na każdą potyczkę szedł jak na śmierć, nie oglądając się za siebie.

Kiedy Tatarów nie stawalo, a cicho napaslszy się siedzieli, ruszał do Inflant, aby nie próżnować i tam cudów dokazywał w podjazdowej wojnie. do której się był wprawił przez wiek cały. Ręki zaś po zapłacie, ani do króla, ani do kraju nie wyciągnął ni razu: mijano go, milczał, a gdy drudzy oburzali się na niesprawiedliwość, odpowiadał im z dumą szlachetna, że nie jest

jurgieltnikiem pańskim, ale sługą Bożym. i od Boga w niebie nagrody, nie od ludzi na ziemi wygląda. Obok rycerskiego ducha, była w nim i wielka wiara i wzniosła pobożność, bez którejby takie dzieła dokonane być nie mogły; one tylko siłę dają do czynów bohaterskich — nie rodzi ich duma ludzka, ani krew, ani żądza sławy...

Umierając, cieszył się Hrehory Szyjowy, że dwóch po sobie godnych imienia synów zostawiał — oba już byli mężowie dojrzały, oba szli już tą drogą, którą im rodzic wskazał swoim przykładem.

Starszy Paweł, masz go tu na portrecie, wykłpany ojciec — rzekł starzec, wskazując drugie płótno — ale już w tej twarzy jest coś więcej, coś inaczej niż w pierwszej: strój staranny, same rysy wydelikatniałe, oko patrzy roztępiej i bystrzej; obok wojownika, masz już i człowieka rady; na czole trochę ambicji, której śladu w pierwszym nie było, i nieco więcej dumy, chociaż pocziwiej...

Domyślasz się, czujesz, że to ojciec rodziny, która między pierwszymi zasiąść będzie miała prawo. Obok niego masz młodszego brata Wasyla, który, jak powiadają, do matki był podobny; twarz ponura, ale charakter w niej potężny; cały w żelazo okuty, pułkownikowska buława w prawicy, broda w pas, dziko patrzy, ale i walczył też z dziką odwagą na polach bitwy swojego czasu.

Paweł jest naddziadem naszym, Wasyl głową młodziej linii, która dziś już wygasta, poszedłszy w innymcale kierunku. Po wielkim Hrehorym zaraz rozdzielił się ród nasz i poszedł dwoma gałęziami, dwoma oddzielnymi drogami, że już o potomkach Abrahama nie wspomnę, o których bohaterstwie wiecie... Paweł zbliżył się do pa-

nów i dzieci jego już zasiadły w senacie i u boku króla: potomstwo Wasyla więcej szlacheckie niż pańskie, przewodniczyło w ziemi i powiecie, związkowało, konfederowało się, hałasowało na sejmach i w każdym rokoszu rej wodziło. Buta Głińskich z ich krwią i rysami, poszła przez Wasyla do tej linji zawadjaków, rębaczy i wi-chrzycieli...

Ale powróćmy do naszego Pawła...

— A nie będzież to późno? przerwał ksiądz Mirejko wstając — panie chorążycu dobrodzieju, sen tylko przed północą zasila...

— Zawsze za nadto spiemy, choćbyśmy najkrócej spali—odparł starzec rozogniony opowiadaniem—zresztą. wyście już nieraz na wyrywki słyszeli o moich Karlińskich, a wam dla mszy świętej i pacierzy wcześniej pójść potrzeba; nie róbcie ceremonji... Może i wam, dodał zwracając się do Aleksego i Justyna, nudno już słuchać starego zrzędy?

— Ja za nic nie odejdę, i nie jedną, ale wiele kaze-cie nocy słuchać was gotów — żywo odezwał się Aleksey.

— O! i ja też! rzekł Justyn — i dla czegoż? dla-snu mielibyśmy was porzucić??

— Mój stryju, zawołał Julian, nie sądź nas tak su-ro-wo, i nie myśl o spoczynku, chybaży tobie był potrzebny...

Stary uśmiechnął się.

— Mnie! mnie! spoczniemy w trumnie! odpowiedział—sen to zadatek, który dajemy śmierci... nie myślcie o mnie; choć stary więcej jeszcze od was wytrzymam, bo-dncha w sobie krzepię a na ciało nie zważam.

X.

— Cóżem mówił? o Pawle? — Nie ustąpił on ojcu, pracował jak on, ale choć nigdy poświęcenia nie skąpił, już o sobie, o domu, o prywacie nie umiał tak zapomnieć jak ów wielki Hrehory; już dwory budował, już gospodarzył zabiegłe, już mu głowa bolała o zamożność domu, o podźwignienie rodziny. Żonaty z Szamotulską, wyszedł ze swego starego guiazda i związał się z familją, która zbytek razem z fortuną nam wniosła. Wiecie czy nie, jak żyli dawniej panowie i kniaziowie na ziemi naszej, póki do nas wpływ powoli niewieściejących już prowincji nie przyszedł? — Niewiele żywot ich różnił się od ubogiego szlacheckiego, a jeśli czem, to dworem, to liczbą ludu zaciężnego, to ubogimi co się przy nas żywili, to szafunkiem obfitym prostych darów zebranych na własnej ziemi. Pieczono woły i barany na objad, ale ich nie przyprawiano i nie podawano na srebrze; koźnich barani powleczoney szaraczkiem służył na codzień, a niedźwiedźnia od wielkiego dzwona. Jejmość przedła z dziewczkami swemi i kuchnią się zajmowała sama; dzieci chodziły boso, ale gdy Rzeczpospolita zażądała posiłku, postawiono ludzi, i sypnięto grosza po pańsku.

Niczem było zahartować majątności ojczyste, aby opłacić ludzi których się swoim sumptem wiodło na wojnę, a ten co krupnik z wędzonego półgęska jadał na wieczerzę, pułk stawiał nie stękając, lub posłując o swym koszcie, prezenta dawał koronowanym głowom ze swojej szkatuły, dwór sztyftował, występował po pańsku, nie pytając czy mu kiedy skarb Rzeczypospolitej po-

wróci ekspensa. Powróciwszy do domu znowuż kożuch wdział na się i w jaglanej kaszy smakował.

Zbytek nie wszedł nagle, zarazem, ale się wkładał powoli; wniosły go i czasy i ludzie, a najbardziej małpiarstwo cudzoziemców, przed którymi sromaliśmy się tego, czemby się chlubić należało. Za Jagielly, sam król na sianie sypiał, a miedzianego kubka do umywania zażywał; za Zygmunów już siano i pacholętom królewskim śmierdziało, a nalewki mosiężne pooddawano do zakrystji, żeby się ich uczciwie z oczów pozbyć, wedle starego przysłowia: *Na tobi Boże, szczo mni ne hoże*. Niczem to te drobnostki, ale bądźcie pewni, że inny człowiek wstaje z siana, a inny z puchowej pościeli.

Paweł rodził się za Zygmunta Starego, a umarł za Zygmunta Szweda; przeżył żywotem czynnym najważniejszą może chwilę w bycie narodu, kryzys która stanowiła o przyszłości, przesilenie ostateczne. W r. 1607, gdy umierał, już prorocze oko dostrzedz mogło zarody wszystkich klęsk późniejszych; ale jeden tylko naówczas był prorok w Polsce, wołający z kazalnicy jak Kassandra o upadku, który drugim niepodobieństwem się zdawał; przepowiadający wszystko co za grzechy przecierpieć musieliśmy. Wiatr rozwiął słowa natchnionego Skargi, i dziś dopiero palają nam one światłem wiecznem. Paweł już był z ojcem w Inflantach przeciw Iwanowi Bazylewiczowi; bił się mężnie pod Wenden; z Połubińskim zrazu chodził dla rycerskiej wprawy, potem z Łaskim w Multanach już wojował po staremu ojca naśladować i dokazując po ojcowsku. Nie stało tu wojny, zabrakło roboty, Paweł się wprosił z Bykowskim na poselstwo do Moskwy i z nim razem niewolę przecierpiał.

Dopiero go w roku 1570 puszczono przy trzyletnim

rozejmie. Ojciec jeszcze na to wszystko patrzył bo był żyw. i gdy Paweł powrócił mu przed śmiercią zarosły a wynędzniały do niepoznania, bo z samej tęsknoty a nieczynności wychudł i wymizerniał... tylko go po głowie pogłodził, a nie chwalił i nie rozczulał się nad nim, bo nie chciał ani wbijać go w dumę, ani robić z tego zasługi, co było spełnieniem obowiązku.

Za Batorego dopiero Paweł mógł się lepiej, całkowicie dać poznać; wyborem nawet meza którego śladami poszedł, dowiódł, że nie był już ślepin narzedziem i umiał rozeznąć dokąd różne wiodły drogi; trzymał się bowiem Jana Zamojskiego i stronnictwa królewskiego. Był pod Połockiem i Suszą, gdzie go i rana nie minęła, tak że ztamtąd musiano powieźć do domu ciętego okrutnie w biodra, i ledwie za łaską Bożą, przez trafunkiem wynalezionego kiedyś Greczyna, ziołami mu ranę zgojono; ale długo o kuli chodził nim siadł na koń, bo mu było nogę przykureczyło. Innyby już potem miał się za wysłżonego, zwłaszcza że domą było co robić, bo mu się zrazu nie bardzo wiodło na mieniu, ale w owych czasach wstyd było jeszcze za piecem darów Bożych używać, gdy te nie nam dla nas, ale tylko do szafunku rozninnego są powierzone.

Już pod Byczyną z Zamojskim znown Paweł się nalażł i wrąbał się w szyk nieprzyjacielski z aplauzem powszechnym; w 1594 gdy Tatarowie na Ruś wpadli, nie zaspął także i ścigał ich aż do granicy węgierskiej się zapędziwszy; później z Zamojskim pod Feliuem jeszcze go słyszeć, a nie mniej tam od Farenzbacha i hetmana dokazywał, bo niemal w tejże chwili gdy Zamojskiego sprzączka od pasa salwowała, delją miał na wskrós przesyta bez szkody. Ale tu koniec jego dzieła: dotknęło

go, że w nie poszła i śmierć wojewody Wiedeńskiego, i to co dokazywali, dobywając Felina, gdy później dla zatrzymanej zapłaty, dla niedostatku z nieporządku pochodzącego, musieli stać daremnie w obozie z niechętnem wojskiem, czas tracąc najdroższy. Zaniemógł Paweł gorzej duszą niż ciałem, razeni z hetmanem, zwątpiwszy o wszystko, i z pod Weissensztejn do domu spocząć pojechał. Od Inflantskiej tej potrzeby zamknął się i cały oddał nabożeństwu, pogrążony w jakimś nieopisanym smutku, tak że prawie mówić zaprzestał. Zapuścił brodę, wdział suknię tercjarzy i koadjutorów zakonu Jezusowego, różańca z rąk nie rzucał i przed ołtarzem pokojowym, na którym dzień i noc paliły się świece u obrazu N. Panny, resztę życia na klęczkach strawił, tak, że mu pod koniec na nogach, zmordowanych od ustawicznego klęczenia, ustać już było ciężko. Przychojących z interesami odprawiał do żony i syna, odpowiadając, że wszelkie sprawy obojętne mu były, krom spraw zbawienia. W roku 1607, czasu rokoshu, gdy mu doniesiono, że Wasyl, brat jego, rozsiekany został, napadnięty będąc przez partyzantów królewskich, kiedyś w gospodzie, uczuł to tak mocno, że go nazajutrz na ziemi przed ołtarzykiem znaleziono bez ducha.

Paweł jest poważną i wielką naszych szlacheckich dziejów postacią, ale to już nie Hrehory Szyjowy; więcej w nim rozumu może, mniej uczucia, a i słabości ludzkiej nie mało. Już mu i wielkość i dostojęstwa smakują, choć na dobre obraca siłę jaką z nich ciągnie: już majątność dlań choć nie na pierwszym, ale w wielkim względzie. Koniec jego, w którym odezwalo się uczucie i osłabła wiara w rozum ludzki, pewnie niemniej piękny od ojcowskiego, bo zwiastuje pokutnika nama-

szczonego, uznającego grzechy swoje i dźwigającego się od ziemi ku niebu.

Cale inną drogą poszedł Wasyl, ożeniwszy się z szlachecianką Korbutówną, choć pan imieniem i mieniem, ale szlachcie sercem i z umysłu unikający panów, a z buty i jakiegoś niepokoju w charakterze zawsze wiążący się z wicherzycielami i stający przeciwko władzy... Takim go natura stworzyła, a przerabiać się nie myślał; choć broił nie grzeszył może, bo mu się sumiennie zdało, że to co czyni, dla dobra publicznego robić powinien.

Ani to było bez ciężkich i nienstannych ohar, a choć się dobił miłości szlacheckiej panów braci, wiemy, że ta lepiej jeszcze od łaski pańskiej na pstryku koniu jeździ; dziś ukochany i uoszony na rękach, jutro byle inny wiatr powiał, na szable mógł być wzięty.

Gdyby nie męstwo, kilkakroć na związkach byłby życiem za prawdę śmiałą przepłacił, tak łatwo u tłumu o miłość i o nienawiść... Ktoś zawołał: — Zdrajca! Jezuita! Szwed! alisci nie pytając z kąd się to wzięło, czy z głupoty, z prywaty, lub z dobrego powodu, wszystkie demeszki z pochew się obnażały na obwinionego...

Król Stefan, a bardziej jeszcze Zygmunt znali go i niechętni byli Wasylowi, bo im bruździł, a wiadano, że go ani kupić nie można, ani nastraszyć; kopano też pod nim dolki, że dobrze pod nogi patrzeć musiał, by nie padł. Wasyl za Stefana, choć z nim wyprawy odbywał i żołnierz był siarczysty, a gdy mu krew zapachła, nie pytał o co się bili, walc z drngimi naprzód; zawsze tego mądrego króla miał w podejrzeniu o złe zamiary względem szlacheckiej wolności, nie bacząc, że ta szlachecka swoboda najeieższą była tyranją i zguby

zarodem. Przeczuwał on razem ze szlachtą całą, że co zbytńia powolność Jagiellonów nadała, rozum i miłość kraju odebrać im będą musiały; w Stefanie widziano *wilcze zęby*, lakome na swobody, i Wasyl nieraz na sejmie bryztał swą szlachecką dumą w oczy bohaterowi.

Poszło mu to bezkarnie i ośmieliło więcej jeszcze. Za Zygmunta III., przy powolniejszym charakterze monarchy i rozwijającej się opozycji, Karliński nasz coraz większą poczał grać rolę. Wszędy go było pełno, zkad go rokosz zaleciał; jemu nawet przypisują, bo głowa była nie lada, ową sławną definicję: — Co jest rokosz? — która po wszystkich rękopismach współczesnych przepisana się znajduje. Gardłował na zjeździe w Steżycy, a gdy pod Janowcem Zebrzydowski się submitował, znać go już nie chcąc i pod sztandar cześnika Litewskiego przeszedłszy, na Ruś pociągnął szlachtę przekabacać. Tu go śmierć zachwyciła w drodze od partji Żółkiewszczyzanów, z którą się zetknął w gospodzie... Wasyl z małą był garstką, ale placu dostał i napadnięty bronił się do ostatka tak, że w szmaty rozsiekany, życiem mestwo swoje i stałość przepłacił...

Oba, Paweł i Wasyl, po jednym tylko zostawili synie, oba synowie poszli ojcowskim śladem; naszemu naddziadowi imię było Hrehory drugi; oto go masz na tym wizerunku zczerniałym, z którego dziś tylko męska twarz z Łaszczową czupryną pogląda.

Chorażyc przybliżył świecę i wskazał Juljanowi portret z kolei następujący; wisiały bowiem genealogicznym porządkiem na dwa podzielone szeregi, dwie linje Karlińskich, od wielkiego Hrehorego początek biorące...

— Hrehory drugi — mówił pan Atanazy, urodził się w 1576 roku, i już też nie tak dziko i ostro jak tamci

na nas pogląda; jest w nim coś pierwszych rodowych rysów, którym podgolona wysoko głowa i podniesione czoło szlachetnego wyrazu i niejakej dumy dodaje; strój na nim pański, rysia szuba jak u Radziwiłła, kolpak soboli, a spieciaby za nasze dzisiejsze majątki nie kupił. Ten ogromny karbunkul przy delji, to sławny kamień na jakimś łanie tatarskim zabrany, za który w Paryżu dziad nasz, a twój pradziad, panie Juljanie, Tymotensz Polykarp, wziął miljon liwrów, i zjadł je na dworze Ludwików.

Czul i Hrehory drugi, że nie przyszedł na świat, by się stroił, pieścił, dogadzał swojej osobie i za prywatą tylko gonił, ale jego poświęcenie się było samym charakterem czasu ograniczone; czynił wiele, gotów był poświęcić wszystko, a ludzka słabość miała już przecie udział w tym heroizmie. Pierwsze jego pole było pod Lubniami z Żółkiewskim, gdzie u boku zacnego wojownika tak sobie świetnie począł, że jednym harcem na całe życie sławę pozyskał, ująwszy swoją ręką jednego z przywódców kozackich. Nie opuścił też Inslautskiej potrzeby, na którą z Zamojskim chodził, pod Kokhausen począwszy, a dotrwawszy z ojcem aż do Weissensztejn, wszędzie z chwałą się potykał, przechodząc z pod chorągwi do chorągwi, od wodza do wodza, gdzie ciepło było. Nie będę wyliczał co robił do 1640, to jest do śmierci swojej, boym znown powtarzać musiał i potrzeby wszystkie, i sejmy, i komisje, i poselstwa sławniejsze, jakie pod te czasy miały miejsce; powiem raczej ogólnie, że Hrehory drugi szczeblem wyżej posunął znaczenie familji, zasiadając krzesło ważne w senacie, żeniąc się z córką wielkiego domu i pomysłnie pomnożywszy fortunę. Stanowisko, jakie zajął, oddaliło go od

potomka Wasylowego, Iwana, który podupadł i dalej drogą utorowaną idąc, nie myślał tylko jak się ojcowskiej pomścić śmierci. To było zadanie życia całego nieszczęśliwego Iwana, przezwanego Kokoszką, nie wiem od czego.

Ale niechże no wprzód skończę o Hrehorym, bo Iwan a on nic z sobą wspólnego nie mieli oprócz imienia; i tego nawet, gdy mu pomagać do zemsty nie chciano, tylko co przez wstret nie rzucił, mając zamiar herb sobie przemienić i od majątności się przazwać, choć do tego nie przyszło.

Hrehory nabywszy sławy w bitwach, nie chronił się ich i nadal, ale więcej, jako człowiek wielkiej głowy i zręczności do poselstw i traktacji, przy boku królewskim był używany. Należał on do tych przyjaciół i poufnych Władysława Zygmunta, którzy z nim młodość, zabawy i wszelkie dzielili losy. Pan to był, co sobie serca jednać umiał, bo sam też miał serce, a kiedy zaś majątnością, zdrowiem i pokojem zastawić się było potrzeba, żaden z tych co do jego koła należeli, nie szukał wymówek. Hrehory dwa razy całe swe zahartowywał dobra, i po wstąpieniu na tron Władysława nie odstępował go ani na chwilę, a łaską królewską ogromnie przyczynił ojczystych majątności. Wielkich to enót był mąż, ale i wielkich słabości: przepych lubił, biesiad i uczt nie opuszczał, w fraszkach się kochał, a ludzi swoich niemal co roku inną barwą przestrajał. Z drugiej strony, równie hojny na kościoły, mało którego w swojej ziemi nie obdarzył to obrazem z Włoch sprowadzonym, to kielichem, to sumką na altarzystę, to kosztem swym do fabryki się przyczyniając. Śmierć zaskoczyła go niespodzianie, gdy po królewicza Kazimierza do Francji miał jechać;

zastąpił nieco, lekarz królowej, Francuz, dał mu jakieś *Electuarium* na noc, ale nazajutrz już go nie stało.

Iwan Kokoszka, brat jego stryjeczny, dobrze go na tamten świat poprzędził; po śmierci ojca zrobił był wotum całe nie chrześcijańskie, pomścić się jego zabójstwa, i dopóty doma nie nocować, dopókiby wszystkich napastników, krwią Wasyla zbryzganych, nie wygubił do jednego. Miał nazwiska ich spisane na karcie, i dobrawszy sobie szlachty poczet nie mały, po kolei się za nimi uganiał. A gdy mu w trakcie tego do domu zajechać przyszło i dni parę zabawić, żeby swego ślubu nie złamał, namiot w podwórku rozbijać kazał i tam noc przepędzał. Trzech tak już z owych Żółkiewszczan zabili, czwartego utopiono w stawie, reszta szukała wszelkiemi sposoby zgody, gdy Iwan powadziwszy się z pijaną hulastrą Radziwiłłowską o postawienie koni w szopie na trakcie Zamojskim, do jednego z nich z pistoletu strzelił, nieszczęściem chybił i cięty od niego, haniebnie poległ... Po nim została żona, córka, która wkrótce poszła za Wessla do Infant i syn Wasyl Iwan siedemnastoletni.

Ta niecna zemsta zabrała mu życie mizerne, spędzone w krwawej pogoni, tak, że o duszy swej, o posłannictwie pomyśleć nie miał czasu. Ale dajmy już pokój tej linii, która tak marnie zesła, wichrząc i gubiąc się dobrowolnie. Bóg tak chciał dla przykładu wiadać, byśmy przed oczyma mieli losy potomków, dwóch braci rodzonych. Oba oni wzięli w spadku jedno imię, równą majątność, wychowanie jednakie, przecież widoczna łaska Boża jednego powołała do lepszych losów, do wyższych miejsc, drugiego straciła z wyżyny na barłóg Hioba.

Hrehory nasz zostawił pięcin synów z Zabrzezińskiej, a choć fortuna była ogromna, podział jej na głów tyle byłby Karlińskich między szlachtę zepchnął, gdyby nie wola Boża, która snać jeszcze rodziny naszej na coś potrzebowała, i żadnej siły jej do działania koniecznej odebrać nie chciała. Z tych pięcin jeden tylko wziął po ojcu spadek cały, dziwnem losu zrządzeniem; zrazu bowiem nie dzielili się fortuna.

Najstarszy z synów, Ignacy, kasztelan międzyrzecki, urodzony w pierwszym roku siedmiastego wieku, miał już lat czterdzieści, gdy ojciec go odmarł; objął tedy ciężar spraw i interesów na swe ramiona, wyręczając drugich.

Brat jego Jędrzej, o dwa lata odeń młodszy, obożny koronny, łaską królewską wsparty, i cały pobożności oddany, ani chciał słyszeć o wsi i mozołach gospodarских, rad z tego, co mu brat dał z łaski. Zaraz o nim szerzej niż o innych powiedzieć będę musiał, bo po Hrehorym wielkim to była perła i słońce rodziny naszej.

To mówiąc, chorażył krzyż z koroną cierniową, wiązający na piersiach, ucałował gorąco i tak mówił dalej:

— Trzeci brat, Zygmunt, przed ojcem jeszcze umarł, ze Stefanem Chmieleckim walcząc na Rusi; napadła go obozowa febra, kilka miesięcy z nią się pasował, aż nareszcie pod namiotem go wzięła; umarł, głowę nie na miękkich poduszkach, ale na twardej złożywwszy kulbace... całując napierśnik na którym krzyż i matkę Boską miał malowaną.

Czwarty, Pietrasz, nie wiem czy z własnej czy z ojca woli poświęcił się stanowi duchownemu, był nominatem na biskupstwo chełmskie... O tem... potem...

Piąty, Włodek, skromny i pobożny. ukochane matki

dziecię, choć go Hrehory kierować chciał inaczej i do wojny sposobieć w miejscu weześnie zgasłego Zygmunta, do nóg rodzicowi upadłszy, łzami je oblewając, uzyskał pozwolenie wstąpienia do klasztoru XX. Bernardynów. Był to człowiek świątobliwości wielkiej i nie mniejszej pokory; z kolei powiem o nim więcej, bo przed Bogiem lepszy on był od wielu tych, co sądem ludzkim nad nim górują; teraz powrócić muszę do głowy rodziny Ignacego, kasztelana międzyrzeckiego.

Ignacy był dobrym synem kraju, jak jego przodkowie, masz go tu na tym wizerunku — piękniejszej i wyrazistszej twarzy zobaczyć trudno; ale to nie rycerz Hrehory, nie Paweł nawet; piętno czasu wyryte jest na jego obliczu wspaniałem, spokojnem, powagi pełnem, ale zdradzającym więcej meża rady i dworaka niżeli wojownika.

Przy starodawnym stroju, błyskotki i dodatki wskazują człowieka, który dba o to jak się okaże, i sąd ludzki ma na oku nawet gdy o powierzchowność chodzi: znać że chciał być pięknym i wydawać się wspaniałe. Niedźwiedzią delję zastąpiły sobole, przy nich atlasy, aksamity, lamy, spinki, guzy, a złota i świecidel pełno. Toż samo na twarzy której wyraz szlachetny, wzniosły, coś ma już w sobie przymilającego się, uśmiechnionego, słodkiego. Jest to nasionko drobne tej zalotności nie męskiej, z jaką później pokolenia całe dla przypodobania się światu, wyrzekły Boga i sumienia. W tym człowieku zniewieściałość i zalotność nie dochodzi jeszcze tak daleko, ale już jest *in nuce*.

Był to znakomity, jak podówczas zwano, statysta, ale urodzony w epoce w której słowo zaczęło więcej znaczyć od czynu, uwierzył w jego wszechwładność, za-

kochał się w jego dźwięku. Pan Bóg obdarzył go łatwością i świetną wymową, pamięcią wielką, postawą piękną, głosem donośnym i miłe brzmiącym; okoliczności uczyniły go oratorem. Mówił wszędzie, gdzie tylko znalazł uszy ku słuchaniu, a dbał wiele o wrażenie jakie na publice uczyni, na sejmach, generale, dziękując i przemawiając się do serc panów braci, przy marcepanach i kruszeniu tarczy, w domu, kościele, trybunale, popisywał się z wymową swoją, w której w istocie więcej było blasku i rozgłosu, niżeli myśli i treści. Maluczka drobnotka wystarczała mu na długą perorę, pamięć do niej materiały dawała z biblij, świata starożytnego, poetów i historyków, z mowców i filozofów; wszystkiego tam było potroszę, a najmniej swojego. Rzadki talent i ogromna nauka zrobiły zeń smutnego mowcę, z profesji pochlbiającego tłumowi; polechtana pochwalami próżność, zwiódła go z drogi prawdy na manowce, wśród których spotykał oklaski i przyzwolenia, odpłacające mu jego własną monetą...

(Chłodny, praktyczny, ale przytem prawy, miał jeszcze w sobie coś tradycyjnie rycerskiego, i nie splamił się w długiem życiu żadną prywatą, chociaż przeżył ciężkie lata próby od Zygmunta III. do Jana, naprzód pod okiem ojca, potem już sam głową rodziny i domu. Całą niepodzielną majątność objawszy po Hrehorym, musiał pracować dla wszystkich, i podolał temu zadaniu, ale ono z oratorstwem razem cały czas jego, całe pochłonęło życie. Wprawdzie, od najpilniejszej osobistej sprawy gotów był zawsze odbiedz dla potrzeby krajowej, publicznej, ale go ta już nie tyle co poprzedników zajmowała, już jej nie miał przed oczyma, jako pierwszego i najważniejszego powołania swojego.

Jedyną jego wyprawą wojenną była potrzeba 1634. w której królowi pod Mołajsk towarzyszył; potem przezeń użyty do traktacji Polanowskich, dał w nich dowód niepospolitych dyplomatycznych zdolności. W następnym roku jeździł z poselstwem do Moskwy, potem z Ossolińskim do Ratysbony, następnie do Kurlandji i do Francji. Zewsząd się jakieś лихо do domu przywiozło. Za Jana Kazimierza, wśród zawieruchy i niepokojów, czynniejszy był jako poseł królewski do związkujących, do Kozaków z Kisielem, do Szwedów, nizeli na placu bojowym; nie winię go za to że do partyzantów królowej z Wydzgą należał, bo w tych praktykach może dobro przyszłe kraju upatrywał; gorzej mi przykro widzieć go wszędzie pracującego tylko usty i słowem, wiodacem do intrygi i spiskowania. Za Korybuta z Sobieskim znów się związał, co mu pod następnem panowaniem na dobre wyszło. Ostatnią jego czynnością były układy Andruszowskie, do których wpływał wielce, przyczyniając się do zawarcia rozejmu, bo potrzeby jego dla kraju silnie uznawał, i choćby z ofiarą pokoju pragnął. Kilka lat jeszcze spędził w domu, nie mieszając się już do spraw publicznych, bo go pedogra trapiła, nogi miał opuchłe i z krzesłem go noszono, tak obezwładniał całkowicie. Kilku starych przyjaciół dotrzymywali mu placu, a tym on z wielkiej księgi mowy swoje, listy pisywane do znaczuiejszych osób, przymówienia się, oracje odczytywać lubił i rozprawiać z nimi o ludziach i dziejach swojego czasu. Mąż to był, mimo swych słabostek, powagi wielkiej i sumienia nieposzlakowanego; w obec nas, drobnych jego potomków, to jeszcze postać zawstydzająca swą wspaniałością, to jeszcze mąż ofiary i cłowiek stann... ale obok Hrehorego i jego syna, to już

plemię skarłale, to już upadek zwiastujący człowiek...
O! jakeśmy od nich, jakeśmy daleko odeszli!

Nie popełnił on nic, coby mu zarzucić można; dobrego uczynił wiele, ale mógł więcej jeszcze; już w nim powoli zacierało się przekonanie o posłannictwie szlachty i panów, a rozpieszczona istota winawiała w siebie po cichu, że dobro, którem ją Bóg obdarzył, dla niej tylko samej było dane. Byłby oddał co miał, ale czułby otiare i stękał na nią; spadek po dziadach zdawał mu się własnością jego, spuścizną osobistą, sprawiedliwym dziedzictwem, a o ciężarach smnienia do niego przywiązanych zapomniał.

Mało co młodszy od niego brat Jędrzej, obożny koronny, był może ostatnim z rodziny mężem prawdziwie godnym pamięci nieśmiertelnej, choć tak dalece zapomnieliśmy o nim, że ledwie w zbutwiałych papierach rodziny ślad wielkiej jego myśli i serca pozostał. Nie tylko zabyty, ale wzgardzony i niezrozumiany za żywota. Jak wszyscy, co czas swój wyprzedzając wskazywali mu ciężką drogę postępu, Jędrzej poczawszy świetnie, wołał zniżyć z wysokiego stanowiska, niż wyrzec się przekonania swoich. Odziedziczone przezennuie i pierwszy może raz od dwóchset lat dotknięte ręką i okiem papiery po Jędrzeju, dozwalają mi o nim powiedzieć ci obszerniej, bo też wart zaprawdę tego. Spójrz, uchył głowy, to on...

To mówiąc, chorążyc, ręka od wzrnszenia drżąca przybliżył świecę i ukazał ciemne płótno, wśród którego z trudnością rozeznąć było można wizerunek z twarzą posepną, surowa może, zamysłoną, ale uderzającą ogółem rysów, napietnowanych jakimś natchnieniem religijnem.

— Nie prawdaż, odezwał się, że to oblicze, po któ-

rem odrazu poznajesz człowieka, co nie pokłonił się ni razn bałwanowi świata, zwyczajów i względów ludzkich, co się nie ugiął przed siłą, nie padł przed wielkością, której nie uznał, i ni razu nie skłamał nieczem, słowem, czynem ani milczeniem! Co za wejrzenie szczere, głębokie, potężnie sięgające do serca, co za czoło-światy-nia, jaki uśmiech litości na tych wargach, których pocałunek ludzkich namiętności nie dotknął? Rycerz to Chrystusowy we zbroi cały, włos krótko uciety, odkryta głowa wypelzła od myśli gorących, na szyi, na wstędze, przypatrzył się, ten sam krzyż, jaki widzisz na mnie, obwity cierniową koroną... Przy nim księga, na której spoczywa dłoń męska, nieforemna, spracowana, ale silna... druga sparta na rękojeści od miecza, mówi, że gotowa stanąć w obronie prawdy.

Wychowany przez jakiegoś mnicha, który był domowym u Hrehorego i Jędrusia z dziecka polubił bardzo, musiał wpływowi jego być winien kierunek, jakim poszedł w całym życiu późniejszym. Mnich ten, którego zwano ojcem Dyonizym, z nazwiska rodzinnego nieznany, surowy był i dziwaczny w oczach ludzi pospolitych, ale pobożność jego i czystość zmuszała przebaczać wybryki niekiedy przykre, jakich sobie nie tylko z dworskimi, ale z samymi gospodarzami pozwalał. Jędrus jego i on ańskiego Jędrusia do szaleństwa kochał, uczył go, chodził z nim i do lat niemal szesnastu z rąk nie puszczał. Wkrótce po odesłaniu do szkół Jędrzeja, Dyonizy umarł z tęsknoty, ale duch jego pozostał żyw w piersi wychowawca. Ze zdumieniem postrzeżono w nim, iż jakby dopiero co z lasu wyszedł, oburzał się i dziwił temu, co innych wcale nie zastanawiało, nie zmilczał zapytany nikomu, gdy szło o prawdę, nie pobiażał, a zgromiony

upokarzał się, nie poświęcając przekonania swego. Od-
dany do wojska, jeszcze za Zygmunta III., z Władysła-
wem królewiczem odbył kilka wypraw i tak się do niego
przywiązał, że go już nie odstąpił.

Nie sądźcie jednak, by zbliżywszy się do dworu i
pana, postradał tę świętą szorstkość i prawość charak-
teru, jaką się w młodości odznaczał; pozostały one
w całej swej sile i mocy, ale świat dziwny z nich zro-
bił użytek. Jędrzej tak był prawdopodobny, nieulekniony
i niepoprawiony niezem, że wielkość jego charakteru
w oczach zepsutszych wydawać się musiała dziwactwem.
Królewicz, Kazanowscy, Ossolińscy, Denhoffowie i inni
śmieli się, świętokradzcy, z Jędrzeja jak z błazna dwor-
skiego, a że im dawał powód do igraszki, wodzili go
z sobą, podlegając jeszcze do wyskoków, które na nich
innego nad wesołe i przelotne nie robiły wrażenia.
Jędrzej zaś trwał na przykreń stanowisku w tem prze-
konaniu, że choć sam ucierpiał, słowem i przykładem
kiedykolwiek musi uczynić wrażenie i choć jedną oca-
lić duszę... Narzekał więc, nie zważając na śmiechy
na zepsucie, ostygnięcie, zniewieściałość, zbytek, zgu-
bienie z oczów celu wyższego — a choć to w żart obra-
cano, zbic się nie dawał ironja i szyderstwo.

Kilkakroć prawdy gorzkie, które mówił wszystkim,
krwią podpisywać musiał, ale i to go nie poprawiło;
owszem co chwila wspanialej rozwijała się ta postać
prorocza, potężna, co dla zepsutych swych towarzyszków
służyła za pośmiewisko, a dla nas jest olbrzymem zdumiewającym świętością i wielkością niepoścignioną.

Władysław IV. już królem zostawszy, a może placąc
Jędrzejowi za to, że go nie słuchał, dał mu urząd obo-
żnego koronnego i parę starostw; pierwszy przyjął Kar-

liński, sumiennie się gotując spełnić obowiązki, jakie wkladał; drugich został tylko szafarzem, uznawszy się bowiem niegodnym tej nagrody, użył dochodów na zapewnienie chleba ubogiej szlachcie, ranionym w bojach, zestarzałym i okaleczalym w rycerskiej sprawie, tulającym się po niewdzięcznej ziemi, której krwią swoją bronili. Sam pozostał nadal przy boku króla i żadna uczta, żadne zgromadzenie nie obeszło się bez niego. Śmiejąc się dopraszano jego sądu o każdej czynności, i choć go nie posłuchano nigdy, witano żartami i figlem, często od słów jego sumiennych zasępiły się czoła. Jędrzej nikomu i samemu Władysławowi, którego kochał, nie przebaczał... Mówią, że niekiedy w gniewie i oburzeniu, głosem wieszczym pomstę Bożą na wnukach przepowiadał; szydzono z niego i wróżb, których po większej części nie zrozumiano.

Widział on czyściej i lepiej od innych pochyłość, po której społeczność toczyła się na dno przepaści, znał charakter wieku i czuł co się zeń wyrodzić musi, szczególniejsze sobkowstwo, prywatę, dumę, pogańskie grzechy, wyrzucając dworowi Władysława IV. W notatach Jędrzeja opisana jest scena, gdy z Krzysztofem Opalińskim wojewodą poznańskim na dworze się zszedłszy, zagadniony przezeń o Satyry, zamiast pod niebiosą wynosić pisarza, prawdę ostrą w oczy rzucił człowiekowi, wskazując, jak moralista różnym był od wojewody, za co Opaliński aż się był chwycił do korda, *ultima ratio* tych, którym argumentów braknie; ledwie go przytomność króla pohamowała, ale póki żyw obożnemu nie darował.

Jędrzej się wcale nie żenił i od kobiet stronił, nazywając je wesołemi ptaszynami, co pięknie śpiewają, wysoko latają, ale na skrzydłkach swych nie poniosą

ciężaru większego nad kroplę rosy i pyłek kwiatu; może w młodości doznał miłosnej zdrady od jakiej pięknej Francuzki, bo ich tam dwór był pełen, to pewne, że z jakąś tęsknotą i goryczą o kobietach mawiał.

Wszystek się zresztą obrócił ku rzeczom nieśmiertelnym i nadziomskim, z góry tylko i z coraz większych wyżyn poglądając na ziemię. Chadzał nie inaczej jak czarno, u pasa przy szabli różaniec miał zawsze, na piersiach krzyż; większą część czasu trawił w kościele na modlitwie, lub doma na czytaniu jakim, a między ludźmi grał tę nieszczęśliwą rolę prawdomowcy i prawdy apostoła, która mu tylko nieprzyjaciół bez liku jednała. Nie sądźcie jednak, żeby to czynił z uczuciem jakiegś dumy, z przekonaniem o swej doskonałości; owszem nie było uadeł człowieka pokorniejszego, a mniej o sobie trzymającego; z równą troskliwością, w każdym najmniejszy dobry uczynek podnosił, jak zły karciał, a gdy ujrzał choć przelotną skłonność do poprawy, to ją pielegnował i podsycał, choćby kosztem krwi własnej.

Ale w pośród towarzystwa ludzi lekkich, próżnych, zajętych światem i marnościami jego, co nigdy poważniejszego sądu i surowszej myśli nie objawili, oganiając się im jak napaści... wydawać się musiał dziwakiem i stać się pośmiewiskiem.

Jak wytrwał w takim położeniu, nie wiem; potrzeba było przekonania głębokiego, woli olbrzymiej, cierpliwości anielskiej, niezależności nadzwyczajnej, żeby nie osłabnąć, nie upaść, nie dać się zwiechnąć w walce codziennej, której bronią ostrą było szyderstwo, śmiech, ironja, skierowane na najdrażliwsze w świecie przekonania.

Zdaje się, że Jędrzej w tem prześladowaniu i prze-

ciwieństwie nowe siły zdobywał co chwila podnosił się wyżej i stawał mocniej na odrebuciu stanowisku swoim. Z pism widać, że przepowiadał już naówczas powolny i nieznaczny, ale niechybny przerost chrześcijaństwa, które wracało do starych nałogów pogan. Słowa i forma nauki Chrystusowej były jeszcze, ale słowo martwe, forma pusta, duch z nich uciekł. Zastosowanie życia do nauki, pod której choragwią się kupiło, było wielkiem zadaniem jego.

Nie mógł on działać skuteczniej, i sposobu długo nie widział, wywarcia wpływu na kraj swój i współczesnych; drobna okoliczność uatnęła go myślą, która choć do skutku nie przyszła, godną jest pamięci ludzkiej. Wiadomo, że Jerzy Ossoliński, kanclerz koronny, pierwszy myśl poddał Władysławowi IV., ustanowienia orderu kawalerów Niepokalanego Poczęcia. Zamiarem jego było innych państw instytucję przenieść na ziemię rodzinną, ale szlachta, jak w tytułach zagranicznych, tak w tego rodzaju dystynkcjach, upatrująca niebezpieczeństwo równości szlacheckiej, i pomocniczy środek do wyróżnienia panów od braci herbowej, nie dozwoliła, już potwierdzonej przez Urbana VIII., do skutku przyprowadzić ustawy.

Kawalerowie orderu Niepokalanego Poczęcia mieli sobie przepisaną regułę, która ich nie wiele zobowiązywała; myśli w tem głębszej nie było; chciano pięknego łańcucha na szyję i wspaniałych płaszczów, by w nich występować w czasie uroczystości.

Z razu, gdy o statutach orderu rozprawiano, obożny milczał, słuchał czytania ich, zagadywany, odpowiadał ruszeniem ramion, uchodził wreszeie, i po pewnym przeciągu czasu dopiero, kiedy ostatecznie Ossoliński

napisane przez siebie reguły królowi czytał, przerwał mu wobec wszystkich zdziwionych, rzeczą zupełnie niespodziewaną. Sam to później opisał, więc dokładniej o tem z papierów jego mówić mogę. Słowa, które w tej okoliczności wyrzekł, powtórzył obszerniej w nieocenionym swym pamiętniku.

Projekt Ossolińskiego rozpoczynał się od powodów instytucji, która być miała tarczą i puklerzem piersi rycerskich, walczących za wiarę; liczbę kawalerów oznaczał siedmdziesięciu i dwóch tylko, mistyczne znaczenie przywiązując do liczby siedmiu; wszyscy mieli być pochodzenia szlacheckiego (*nulla macula defaedata, nulla suspicione in dubium recocata*); a z obcych tylko dwudziestu czterech do zakonu przypuszczonych być mogło, i to takich, którzyby wszelkich innych stowarzyszeń wprzód się zrzekli; król był głową i naczelnikiem; — znakiem widomym, odznaczającym rycerzy, miał być łańcuch złoty na szyi, złożony z lilij i pęków strzał, z napisami *In te* i *Unita virtus*, z krzyżem purpurowym, a na tle jego dziewicą Marją, depcą węża i legendą: *Vicisti vince...* Nosić mieli kawalerowie order ten na wielkich uroczystościach, w dzień Niepokalanego Poczęcia, którego dnia przystępowali do stołu pańskiego, i w dniu patronów kraju; w inne zaś dni krzyż bez łańcucha prostszy, na białej wstędze. Ubiór ich, krojem zwykłym, oznaczono purpurowy, na to długi płaszcz biały, podbity purpurą, czapki białe z promieniami i wizerankiem N. Panny; zakon miał mieć dwóch dygnitarzy, kancle-rza i podskarbiego, z liczby kawalerów wybranych; reguła opisywała także porządek iścia w uroczystościach, starszeństwem przyjęcia; modlitwy za zmarłych braci, pogrzeby ich, zwrot insygniów po śmierci, spisywanie

czynów przez kanclerza, obiór prałata, wierność panującemu i krajowi, obowiązek stawienia się na wojnę przeciw niewiernym, obrony honoru Boga i Matki Jego, sposób przyjmowania kawalerów w kościele przy mszy świętej, jałmużny na wykupno niewolników i ubogich żołnierzy, które do skarbcu składać miano, i projekt bractwa Niepokalanego Poczęcia czysto religijnego, które z rycerstwem połączyć miano i t. d.

Ossoliński czytał ustawę i począł od dowodów czuć się dającej potrzeby jej; przytomni słuchali w milczeniu, król myślał jak na podobieństwo Złotego Runa i Ducha Św. rozdawać będzie insignia swoje, gdy obożny powstał i dobył zwitek papierów. Wszystkie oczy zwróciły się na niego. Kanclerz nie krył nieukontentowania, ale Jędrzej mało na to zważając, zwrócił się do króla.

— Najjaśniejszy Panie, rzekł, nie takiej nam reguły i nie takich dziś potrzeba rycerzy, znajdzie się komu walczyć z pogańską dziecią i siedmdziesięciu dwóch kawalerów nie wiele tam pomoże; myślmY raczej o zwalczeniu w sobie samych pogaństwa, o złamaniu siły, która codzień podkopuje nankę Chrystusową tam, gdzie pełno krzyżów na polach, kościołach i piersiach, a tak mało w sereach krzyżowej nauki!

Kanclerz chciał przerwać, bo wszyscy się niecierpliwiłi; król wszakże dał znak ręką i odezwał się:

— Posłuchajmy obożnego, może się tam i co dobrego dla nas znajdzie. — Karliński wsparty przez Władysława tak kończył poczetę:

— I ja także przynoszę ci, Najjaśniejszy Panie, projekt orderu, statutu nowych rycerzy, nie wedle próżności świata, lecz wedle natchnienia bożego i pilnej czasu potrzeby...

Z taką już mówił powagą i przekouaniem, że sam Ossoliński przeszkadzać mu nie śmiał.

— Myślałem długo, rzekł obożny, i co mi Bóg podał do serca, tem się z wami dzielę; przyjmiecie czy nie, ja sam będę się starał, żeby pragnienie moje czczem nie było słowem. Nie jest to, uchowaj Boże, krytyka Jegomości kanclerza statutów, bo i te dobre; ale taki zakon, jaki mi się widzi potrzebniejszy od siedmdziesięciu i dwóch strojnych w białe płaszcze kawalerów, bo gdzie bój padnie, tam nas pędzić nie potrzeba, idziemy sami; ale z sobą i Adamem w nas walczyć nie chcemy i nie uniemy.

— *Ad perpetuam rei memoriam*, rozpoczął po wstępie obożny, nie zważając na wznowione szepty i śmiechy, i po łacinie czytał to, co ja tu wam po polsku przekładam, nieco skracając rzecz przydługą.

— Wejrzelśmy na świat i uczuli potrzebę przeważną przykładu, wsparcia, zachęty, posiłku, przeciwko nieprzyjacielowi dusznemu, który wiary Chrystusowej zasady żywotne podkopuje powolnie i niewidocznie. Społeczność cała zboląta jest i osłabła, żegna się ona krzyżem świętym, ale żyje pogańsko, przysięga na chrście, ale stokroć łamie zobowiązania swoje; potrzeba, żeby jej coś przypominało codzienne obowiązki i wspierało w ich spełnieniu. Uzналиśmy okrom duchownych niewymowny użytek braci, coby rozsypani po wszystkich stanach z krzyżem na piersi, wołali o poświęcenie i nie hołdując światu, Bogu tylko i ludziom służyli. Postanawiamy przeto na cel ten bractwo świeckie, rycerzy Cierniowej Korony, któremu następujące przepisujemy prawa:

Liczba braci ma być nieograniczona, na jej czele panujący jako głowa widoma, a jak niezliczone są chóry

aniołów, archaniołów, cherubinów i serafów przy tronie bożym, tak nieokreślona ma być liczba tych, co z nami wspólnie dla zbawienia pracować będą.

Tu kanclerz Ossoliński ramionami ruszył i król na niego spojrzawszy się, uśmiechnął. Jędrzej czytał dalej:

— Stan szlachecki, rycerski na równi z innymi, ale nie przodkując im, duchowni młodzi i starzy, kupcy i rolnicy, do zaszczytu pracowania na dobro wspólne przypuszczeni być mają. Nie wyjmują się z tego i niewiasty, tak zameżne jako w dziewictwie zostające...

Wszyscy głośno zachichotali, ale obożny wcale się tem nie znięczał.

— Jedynym warunkiem przyjęcia ma być metryka chrztu, dowodząca, że przyszedł brat do zgromadzenia wiernych Chrystusowych należy i wielką spełnił już przysięgę.

Zwierzchnictwo zakonu braci Cierniowej Korony my przyjmujemy, a po nas następcy nasi...

Oznaką widoczną bractwa ma być zawieszony na piersi, na czarnej wstędze lub sznurze konopnym krzyż żelazny, obwiedziony koroną cierniową, jaką Chrystus Pan na pośmiewisko uwieńczony został, a nam ją jako obraz poświęcenia i ofiary krwią swoją oblaną zostawił... Suknią nie będą się odznaczać bracia. Każdy wedle stanu swego się nosząc, jednakże obierają sobie szczególnie barwę czarną, jako kolor żałoby i śmierci...

Kościół parafjalny po kraju za kaplice bractwa służyć mają. Naczelnikiem zakonu ma być naprzód panujący, z tego tytułu Wielkim Mistrzem jego nazwany; potem duchowny najwyższy w państwie: prymas. Oprócz nich bractwo wybiera kapelana i podskarbiego, który jałmużny przyjmować i niemi rozrządzać, wedle dyspo-

zyceji braci ma prawo. Pomiedzy braćmi, wyjąwszy pa-
nującego i prymasa, nikt miejsca pierwszego, ani ozna-
czonego zajmować nie będzie, tak jako wobec Boga i
nieba wszyscyśmy braćmi i równymi synami Chrystusa
Pana. Za zmarłych modlić się codziennie każdy obo-
wiązuje, i o ile możności w ostatnich chwilach przed-
śmiertnych, w rzeczach wiary, następuje i w sprawach
ziemskich im dopomagać, nieszczędząc trudu, krwi i
kosztu.

Krzyże żelazne po śmierci każdego z członków od-
syłają się do kapelana i podskarbiego i z imionami
braci, w głównym kościele zawieszone być mają, dla
przykładu następców. Obowiązkiem głównym braci Ko-
rony Cierniowej jest nie tylko samym czynnie spełniać
przepisy nauki Chrystusowej, ale wszędzie i bez względu
na nic, nie oglądając się na ludzi, wskazywać im drogę
prawą, mówić prawdę i to co dyktuje sumienie; dawać
przykład poświęcenia, wiary, miłości bliźniego i miłości
Chrystusa, słowem cierpieć, by dostąpić na ziemi spo-
koju wedle Boga, w niebiesiech zjednoczenia z nim na
wieki. W potrzebie życie oddać chętnie, upokorzeń nie
unikać, ofiary nie skąpić, a ust fałszem nie mazać.
Bracia względem braci obowiązani są do wszystkiego
co chrześcijan łączy w Chrystusie, ale szczególnie po-
winni zwracać się nie ku sobie, a raczej ku tym, którzy
w zaślepieniu i zobojetnieniu trwają i krzyża z cierniem
nie noszą; tych dźwigać, pocieszać, wspomagać, uczyć,
opuszczając wszelkie ziemskie staranie dla tego obo-
wiązku, przysięgą uroczystą przyrzekają. Błądzących na
drogę naprowadzać, zwątpiałych krzepić, obojętnych po-
ciągać, upadających w błędy pogańskie podnosić... pierw-
szą ich przedewszystkiem powinnością...

Dłużej nieco rozciągnął się oboźny o obowiązkach braci, ale już śmiechy dworu pustego słów jego natchnionych słyseć nie dozwolily. W ostatku zawarł jeszcze w kilku punktach przepisy, jak bracia i siostry przyjmowani być mieli, przy mszy i komunji razem Ciało Pańskie i znamię krzyża otrzymując, do jakiej zobowiązywali się jalmużny, jak nią rozporządzać miano i t. d. i t. d. Kanclerz powstał z krzesła i uściskał oboźnego.

— Tylko panie Jędrzeju, rzekł — to nie rycerstwo nowe, ale prostą sobie konfraternię fundujesz, toć i my łączym do milicji naszej także bractwo...

— Bractwo wielce pożyteczne, odparł oboźny, ale tam na modlitwie wszystko, a u mnie na uczynku; nie odrzucam i ja modłów, owszem potrzebę ich i siłę uznawam; ale nie zawsze człowiek modlić się skutecznie może, na to potrzeba natchnienia, podniesienia ducha, usposobienia, gdy do czynu tylko woli, a nad tej skierowaniem pracować powinien każdy. Duchowny nie wszędzie i nie zawsze być może, moi bracia rozsypani będą po wszystkich klasach społeczeństwa, z sercem i ręką miłosierną, z słowem pociechy, nigdy z groźbą i gniewem, zawsze z litością i pokorą...

Naśmiano się z oboźnego do syta, i rzecz naturalna, nie pomyślał nikt nawet o zakładaniu zakonu, który się wydał dziwaczną utopją zepsutym; on jednak nie rzucił raz powziętego zamiaru. Wdział sam pierwszy krzyż obwity koroną cierniową i w lat parę, rezygnując obowiązki oboźnego, udał się do Rzymu z wypracowaną regułą bractwa, którego chciał być założycielem.

Przed odjazdem, Władysław IV., Ossoliński, kanclerz, który go poważał i poważnie z nim mawiał, gdy zasia-

dali sam na sam, a wobec tylko dworaków i pustych głów, przez słabośćkę dla przypodobania się im, z niego się czasem nśmiechał, odradzali mu zachód daremny, ale to go nie powstrzymało.

— Najjaśniejszy Panie,— rzekł,— uczciwy i sumienny człowiek, gdy go Bóg dobrą myślą natchnie, obowiązany jest wszelkimi siłami starać się o jej spełnienie. Jeżeli nie potrafi doprowadzić jej do skutku, nie będzie winien, pracować ku temu mnsi nie zrażając się. Jeśli uie nie uczynie, znać nie było w tem woli bożej, nie było potrzeby, znać Opatrzność innych środków chce użyć ku dobru ludzkiemu...

Król i panowie dali eks-oboźneruu listy polecające do Rzymu, do kardynałów świętego kolegium, do Ojca świętego, do kapelana jego i kilku ludzi wpływ mieć mogących na decyzję stolicy apostolskiej; ale to uie nie pomogło. Jędrzej przybywszy do grodu św. Piotra, na-przód z gorliwością wielką odprawiał nabożeństwo i pielgrzymki po kościołach, potem dopiero jął się wyra-biać owo pozwolenie u papieża. Słuchano go uważnie, ale statuta znalazły oponentów wielu. Ojciec święty uściskał go i pobłogosławił, ucałował krzyż z cieruiową koroną, łza zakreśliła mu sie w oku, ale głową potrząsł, słuchając reguły bractwa.

— Dziecię moje, rzekł—nie widzisz co tu szkopułów w wykonaniu, ile trndności i zawał! Najlepsze chęci twoje, ale nie bolałoby cię serce, gdyby sie one w zło obrócić miały, w rzecz szkodliwą? w próżną oznake i sponiewieranie świętego znamienia?

Nie poprzestał na tem Karliński, pozostał w Rzymie, chodził do kardynałów, do generałów zakonów różnych, pracował, poprawiał regułę, modlił się i w tej świętej

pracy znużony wreszcie, zniechęcony może, zmarł nagle osłabwszy z postu, gdy w kościele św. Stanisława do stołu Pańskiego przystępował. Otrzeźwiono biednego pielgrzyma, wyniosłszy na wschody, spojrzal oczyma łzawemi na Rzym, zwrócił je na północ i świętą duszę oddał w ręce aniołów, co ją na sąd boży ponieśli.

— Wielki to był człowiek, dodał chorążyc przejęty— jak relikwie chowam ten krzyż jego, znamię widome gorącego pragnienia dobra, które nim w życiu całem kierowało; oczy jego wcześniej i lepiej widziały, do czegośmy dziś dojść mieli... szukał lekarstwa na nieuleczoną słabość i zmarł, zwątpiwszy o przyjęciu jego.

Dla nas przynajmniej świętą być powinna jego pamięć, i to znamię krzyża z koroną cierniową...

Mówilem ci już o kasztelanie i bracie jego Zygmuncie. Obożny był trzecim; pozostaje mi wspomnieć o dwóch jeszcze, Pietraszu, biskupie, i Włodku skromnym, mniachu. O pierwszym z nich nie powiem wiele; spojrz na ten portret, a odgadniesz go łatwo... prałat to dworski, strojny, uśmiechnięty, wesoly, który nie tyle o zbawieniu, co o wyniesieniu się myślał. Rodzina i pokrewni pomagali mu ku temu wszelkiemi środkami i byłby może dopiął celu, gdyby śmierć wczesna go nie zaskoczyła. Pietrasz nie był człowiekiem wedle serca mojego, był to duchowny wedle świata, dworak bardziej niż kapłan, dygnitarz duchowny ale nie ksiądz. Na przekór obożnemu, który wszystkich gromił łagodem i prostowal, Pietrasz obawiając się narazić, miał dogodną teologję, mniej więcej uniewinniającą błąd wszelki. Nie sprzeciwiał się nigdy, uśmiechał, a w najgorszym razie milczał... Był to prałat wymowny i statysta, byłby może dostał wielkich godności, do których się sposobił,

gdyby się wcześniej wakans jaki otworzył, obiecywano mu podkanclerstwo, królby go promowował, ale Pan Bóg ujął mu grzechu powołując do siebie.

Włodek, ostatni z pięciu synów Hrehorego, jakem go już wspominał, zawczasu nieczuł powołanie do stanu duchownego, i choć rodzice inaczej go kierować umyślili, upadłszy im do nóg, pozwolenie poświęcenia się Bogu otrzymał. Był to także święty człowiek, ale już nie mąż stanu, nie człowiek publiczny jak obożny; rzekł się wielkiego wpływu jaki mógł wywierać i myśląc tylko o własnej duszy, jej zbawieniu, oddał się w ciszy klasztoru... Jego świątobliwość dziśby nam przesadzona się zdała, tak była wielką i wzniosłą.

Bernardyni, u których nowicjat odbywał, uproszeni przez ojca, który dobrze powołania szczerości chciał wypróbować, wszelkich starań dokładali by mu życie zakonne obmierzić i trudnem je ukazać; ale środek ten wy dobył tylko we Włodku pokorę, wytrwałość. pobożność, zaparcie się siebie niezrównane. Rok cały spełniał najlichsze posługi w klasztorze, a przełożony nie znalazł go ani razu ostygłym, zniechęconym, znużonym; owszem w miarę jak surowiej się z nim obcho-dzono, zdawał się rozweselać i rozjaśniać duchem. Skoń-czywszy studia z wielkiem odznaczeniem, długo jeszcze nie przyjmował święceń ostatnich, bo rodzice mieli zawsze nadzieję, że im Włodek powróci, i jakkolwiek gorąco pragnął zostać kapłanem, nie sprzeciwiał się ich woli; wreszcie dozwolono mu na wieki wyrzec się świata i rozpromieniony kapłan spełnił pierwszą straszną ofiarę ze łzami w oczach i wzruszeniem takim, że przytomni prymicjom obcy nawet, uniesieni zostali tym widokiem. Od tej chwili rozpoczyna się żywot jego, godzin naj-

piękniejszych czasów chrześcijaństwa. Włodek, pod imieniem ks. Anioła, szczególnie się poświęcił ubóstwu, nauce ludu, przygotowywaniu na śmierć konających i ciężkim powołania swego obowiązkom. Ascetą był tylko życiem umartwień, modlitwy i pracy, ale nie smakował w kontemplacyjnej ekstazie: odrywał się z samotnych rozmów z Bogiem dla ludzi, których czuł obowiązany wspomagać... Cuda prawie czynił głęboką wiarą jaką go Bóg obdarzył, nigdy bowiem o sile Bożej nie wątpił; szczególnie chorzy i utraپieni doznawali od niego ratunku za jednem przeżegnaniem krzyżem świętym, którego potęgą najstraszniejsze odpędzał bólesci. Urodzony w drugim dziesiątku siedemnastego wieku, pod suknią mniszą przepędził długie lata i zmarł dopiero w 1700 roku. Sława jego świętobliwości szła za nim wszędzie, gdzie go zwierzchność klasztoru przenosiła... Starcem już oblegany był w celi przez ludzi, którzy tłumami przychodzili żądając odeń tylko błogosławieństwa.

Nic w nim nie pozostało ze starego człowieka, z owego pana i ukochanego dziecięcia, wypieszczanego wśród bogactwa i zbytku; zapomniał młodości, wrósł w swój habit mniszy... Nieraz chciano go na zgromadzeniu wybrać gwardjanem, prowincjałem, miano delegować do Rzymu, zawsze się wymówił z przyjęcia wszelkiej godności, i pod obediencją zmuszony lat trzy być przełożonym, w nocy korytarze mniatał skrycie, obawiając się by zwierzchnictwo szkodliwej w sercu nie wywołało dumy... Świętobliwy ten człowiek zmarł śmiercią sprawiedliwych, a raczej usnął spokojnie w niebieskiem widzeniu, z uśmiechem na ustach... Ciało jego musiano złożyć oddzielnie, gdyż wszyscy się tego domagali w przekouaniu, że zmarł świętym; do dziś dnia pozostało nienszkodzone,

i grób jego w B... nawiedzają liczni chorzy, doznając pomocy błogosławionego Anioła.

— A! zawołał chorążyc oglądając się gdy to mówił na Aleksego i Juljana — zapomniałem, że przy was i do was to wyrzekłem; wy zapewne tak nie wierzycie w cuda jak dziś wszyscy!! Niestety! nie ma i nie będzie cudów dla tych, co w nie wierzyć nie chcą; w świecie ciała są dziwne, ale cudów nie znajdziecie; zkażdych ustąpił, tam prosty rzeczy porządek wedle odwiecznych praw tylko. Cuda wywołuje wiara, cuda tworzy świętość, a są i były cuda na ziemi! Nie dla wszystkich jednak i nie zawsze... Stn ludzi w tłumie dotykało może szat Chrystusowych, i dotknięcie to nie im nie przyniosło; jedna niewiasta dotknęła ich z wiarą głęboką, i ta ją uzdrowiła... Tam gdzie oczy niedowiarka i zastygłego człowieka widzieć będą ciemności tylko, światło wytryśnie dla ogrzanego duchem i podniesionego myślą... Lepiejże nam na dzisiejszym świecie odartym z cudów i zamarzłym? Z szalem dzikiej jakiejś rozpacz, rozum ludzki rozwalal wszystko, co kryć mogło światłość i tajemnice niezbadane... dziś mu płakać na gruzach. Nie wierzym w co wierzyli poprzednicy nasi, i lepiejże nam z tem? nie bolejem-li więcej, srożej stokroć i nie pustkaż nam ziemia bez Boga, który się od nas odsunął?

Chorążyc westchnął zamyślony.

XI.

— Z drugiej linji Ostojów Karlińskich, oto potomek Abrahama, najślawniejszy ze wszystkich tego imienia poświęceniem... Masz go tu Juljanie na tym wizerunku

z zapalonym łątem w rękach i rozplamioną twarzą... Poznasz go łatwo, to heroiczny Kasper Karliński, dający nam przykład uczucia obowiązków posuniętego do bohaterstwa.

Kasprowi powierzona była obrona zamku Olsztyńskiego przeciwko adherentom Maksymiljana, którzy go oblegali. Chciano go zmusić do poddania się miłością rodzicielską, i napadłszy na dobra jego w Lelowskim, Nowy Karlin zwane, zabrano mu najinłodsze dziecię z nianką, pod mury je na czele wojska oblegającego prowadząc, by widokiem tym Kaspra rozbroić. Ale Kasper pamiętał, że wprzód był synem kraju niż ojcem dziecięcia, sam dopadł działa i dał ognia do Maksymilianistów, a traf chciał, że dziecko własne ustrzelil...

Przed takim poświęceniem czemu my dzisiaj groszorbey i papinki?? Nie wiem zaprawdę, jak na siebie bez wstydu spojrzeć możemy. Z siedmiu synów tego Kaspra, pięciu za kraj w różnych walkach poległo, dwóch tylko pozostało przy życiu...

Takimiśmy byli, Julianie! *Fuimus Troes!*

Zwracając się do potomków Hrehorego, niewiele już o nich powiedzieć wam potrafię: co dalej to gorzej, ród nasz drobniej i pokrywa się prywatą jak pleśnią; wielkie postacie przeradzają się, schodzą, nikną, nstępując miejsca głośnym ale czczym imionom, tytułom, śmiesznościami, nicości błyskotliwej. Urodzony w roku śmierci Zygmunta III. Tymoteusz Polikarp, żonaty z Lubomirską, wychowany za granicą, Polak imieniem, a rzeczą Francuz, już w kraju żyć nie umiał i nie mógł. Wyprzedzając ogół przebrał się po europejsku, pojechał do Paryża, tam ów sławny karbunkul Karlińskich sprzedał i zjadł, a nie tylko milion zań wzięty, ale część ojcowizny na

dworze Ludwików przeszedł.

Patrz na jego wizerunek, jak odbija od dawniejszych! syn-li to ich, wnuk stalowych dziadów? uwierzyć trudno! A żona! żona! porównaj ją do tej Glińskiej we wdowim czepcu, do Zabrzezińskiej w sobolej czapce z różańcem w ręku... na wpół naga, z kwiatkiem w ręku, uśmiechnięta, upudrowana, to nie matka dzieci, to nie pani domu, to nie żona żołnierza; to jakaś zalotnica francuska, której więcej chodzi o podobanie się markizom i dukom, niż o przyszłość dzieci, niż o życie wieczne... Oboje strojni, oboje śliczni, ale myślą postaw ich przy tamtych, wydadzą ci się lalkami, dzieciakami, czemś niedorostem i litość obudzającym tylko... Tymoteusz Polykarp był przecie odważnym człowiekiem, w kilku pojedynkach stawał z honorem... ale patrz co za użycie odwagi! Na popis, dla fraszki, na szermę po butelce za błyszczące oczki jakiejs tam jejmościanki...

Nie! dalszego upadku już ci malować nie będę, nie chcę dotykać smutnej karty dziejów domu naszego, który stopniami zszedł na to stanowisko, na jakim dziś ostatnim tchem dysze... Nie sądzę, żeby historia ta rodziny Karlińskich była im wyłączną; mniej więcej tak upadli wszyscy zapomnieniem wielkiego i świętego celu, egoizmem i rozpieszczeniem. Powoli wygasł duch stary, stygły serca, odzywały się pragnienia zwierzęce, małał człowiek i sobie tylko żył samemu... Jak długi i szeroki spojrzysz na kraj nasz... ruiny, same ruiny tylko, gdzieś na zwaliskach zameczyska dymi komin cukrowni lub gorzelni... potomkowie hetmanów warzą syropy i pędzą truciznę dla swoich poddanych, a grosz wyciśnięty z buraka i zboża na co używają? zapytaj? Nie! nie pytaj już lepiej... boby się rozplakać potrzeba... Posłan-

nietwem ich, misją jest kuć pieniądź by go używać bezmyślnie, bawić się... śmiać i w niewiadomości przeznaczenia własnego, kopać grób sobie i rodzinie... Gdzie są dziś panowie i czem się różnią od bogatych żydów i bankierów? ja nie widzę; jednakowo palą cygara, na jeden grosz targują, o jednym myślą... nie poznasz ich i znać nie warto!

— Jeszcze chwila tylko, a puszcze was spać, dodał po chwili chorążyc. Oto jeszcze cały rząd tych biednych Karlińskich, potomków Wasylowych, którzy poszli inną drogą i dobrowolnie zstąpili w szeregi, z jakich wywiódł ich Hrehory Wielki... Znasz już Wasyla, słyszałeś o Iwanie Kokoszką zwanym, co dalej toż samo i gorzej. Wasyl drugi, przezwany Rubacha, żołnierz dobry ale człek bez głowy, tem się odznaczył czem dziad i ojciec, wichrzył i święcie był pewien, że około dobra kraju pracował. W chwili, gdyśmy najmocniej potrzebowali spokoju, zgody, silnego rządu i ładn, on z innymi w wieknistym postrachu o swobody szlacheckie związkował, konfederował się, manifestował, hałasował i ucierał... Każdy król był mu straszny, na każdego rzucał podejrzenie o żądanie *absolutum dominium*, choć to *absolutum dominium* jednego nie byłoby tyle szkody co rząd tyśiąca wichrzycieli przyniosło. Ale zarazem uznajmy w nim piękną i wielką stronę... mylił się, to prawda, omyłka jego była błędem wszystkich; poświęcenie bez granic dla przekonania, ofiara siebie dla kraju czynią go bohaterem. Nie żałował ani majątności, ani zdrowia, ani spokoju swego; szedł za tłumem rąbiąc się, ale oczy miał w niebo wzniesione, duch nie był jeszcze wygasł zupełnie; prywatnie nie miała do niego przystępu.

Z trzech synów jego, tylko Piotr, zwany Zgagą, dla

ostrego charakteru i prawdomowności swojej, współczesny oboźnego Jędrzeja, poszedł drogą pocziwą... Toż same życie co ojca i dziada: żołnierz, szlachcic, sejmikowicz i rębacz, ale za rzecz publiczną; bracia jego rodzeni, Żelisław i Jeremjasz, już mu po pas nie sięgają. Żelisław przywiązał się do Radziwiłłów, z których domem miał dalekie pokrewieństwo i stał się pańskim sługą. Typ szlachcica na jurgielcie magnata: wyrzekł się woli, zdania, serca, przekonań, by służyć tym co go żywili.

Odważny do zuchwalstwa, rębacz zawołany, człowiek wielkiego świata, już sobą pokierować nie był zdolny i musiał się zaprządz do cudzego woza, bo drogi przed sobą nie widział. Radziwiłł mówił co robić było potrzeba, z kim się całować, kogo prowadzić a kogo odpychać. Radziwiłł odziewał, wioski dożywociem dawał, a na pogłaskanie panem bratem czasem nazwał, i mogąc być samemu u siebie Radziwiłłem, szło się z hałasem najętą, ostrząc szerpentyne na brata dla kaprysu pańskiego, dla zachceń dziwacznych, dla nieprzyjaźni które dyktowała duma, a podtrzymywał upor... Czasem odezwano się coś w sercu, jakby głos sumienia, jakby ochotka niezależności, ale bogaty pas, sadzona szabla, kilka chat zagluszały te podszepty niepotrzebne w zaprzędanym człowieku.

Jeremjasz tak samo przywiązał się do Sapiehów, z tą różnicą, że trochę zarwał jurysty i nie tyle szablą co statutem dla nich wywijał. Posyłali go do dóbr dla inwentowania i lustracji, na trybunał dla pilnowania spraw, a co uciulał w tem brzydkim rzemiośle, to w ich ręce na skrypta poskładał. Zmarł bezpotomnie, i familja nie wiem czy kiedy wydzwignęła jego krwawicę,

ale jak przyszło tak poszło... dobrze tak!

Już dalej i nie wiem co się z Wasylowiczami stało: tu i ówdzie słyhać o nich, ale to wyrobnicy pracujący na chleb powszedni, a nie ludzie powołani do sterowania, przykładu i przewodniczenia...

Charakter rodziny całkiem się w nich zaciera; stają się szlachtą na zagonie, może cnót pełną, ale niknącą mi w tłumie...

Chorażyc, który dotąd przechadzał się, upadł na krzesło kończąc, chwilę zamyślony potrwał i obrócił się znowu do Juljana...

— Rozumiesz mnie teraz, rzekł — jeżeli wierzę w posłannictwo arystokracji, to z warunkiem poświęcenia bezwzględnego, zupełnego, wierzę w nią jako w służbę czasu i kraju, przewodniczącą do ofiary, jako w kapłanów przyszłości. Jak skoro zabywa misji swej, pracuje dla siebie, robi pieniądze lub pieniądze używa, staje się narością, chorobą, zgnilizną i odpaść musi od ciała społecznego...

Jako ludzie pojedynczy, potomkowie wielkich rodzin, dla siebie, w swoim kółku mogą być nieposzlakowanej uczciwości, wielkich cnót domowych, ale nie dosyć na tem; — chybiają celu gdy sobie tylko żyją. Zgnieśliśmy i stracili to uczucie potrzeby poświęcenia, które jak gwiazda świeciło niegdyś i na wyżynie trzymało... upadek nieuchronny. Winniśmy, a może i mniej winni niż zrazu rozżalone serce przypuszcza, ogólny kierunek ludzkości odbił się i na jej przedstawicielach... Co dziś zajmuje świat? czem on żyje i dysze? postępek wedle ciała, dobrym bytem, materją, pomnożeniem ogólnego dostatku, urojeniem szczęścia na ziemi. Duch zgąsł, zapomnieliśmy o duszy, a choć się czasem ktoś zwróci

w tę krainę opuszczoną, ducha już nawet pojmuję i sądzi cielesnie, czyniąc go zależnym od warunków materialnych... Mówimy tylko o dobrym bycie, o bogactwie, o przemyśle, studjujemy kwestje społeczne ze stanowiska filozofji i ekonomji, a to czem człowiek podnieść się i istotnie niezależnym uczynić może, odrzuciliśmy na stronę. Stworzono wszystko co według tych panów stanowi warunek szczęścia, i dziwią się, że nie ma skutku. Jest to zupełnie jakby dziecię zdumiewało się, że koń z papieru wyklejony nie rży i nie prycha... Pusto na świecie! pusto... i coraz gorzej być musi... nauka Chrystusowa martwem jest słowem i duch umarł, nie wierzym, nie pragniemy, nie pojmujemy nie nad to co się da dotknąć i zważyć... i to tylko zyskamy, czegośmy się dobijali... trupa bezwładnego, proch i nicość.

Powoli głos chorażyca słabł i ustawał, spuścił głowę na piersi, łza potoczyła się z oczów jego na żelazny krzyż z koroną cierniową...

— Nie! — rzekł budząc się nagle, pan Bóg ulituje się nad ludźmi, tak trwać nie może, tak nie będzie, dźwignie się społeczność duchem... wiarą i pozna że się pokłoniła złotemu cielcowi, dziełu rąk własnych...

Nikt ani na te natchnione słowa, ani na to co je poprzedzało, odpowiedzieć nie nie umiał. Juljan siedział przejęty, jak wkuty w krzesło, z oczyma wlepionymi w stryja, Aleksy dumał, Justyn patrzył na gwiazdziste niebo, które przez otwarte drzwi ogrodu błyskało światłami tysiącem. Znużenie i wzruszenie malowało się na bladej twarzy chorażyca, znać opowiadanie to odżywiło w nim przygasłe boleści z którymi walczyć musiał. W milczeniu spojrział raz jeszcze na portrety oboźnego i Hrehorego, i krokiem niepewnym usunął się w głąb domu...

Po odejściu jego długo tak wszyscy siedzieli jeszcze jak ich porzucił, a Julian błdził okiem po szeregu przodków swoich, ale z twarzy jego znać było, że choć ich wielkość pojmował, dosięgnąć jej nie czuł w sobie siły... Inne marzenia przerywały mu swemi uśmiechami pasmo dumań wywołanych długiem opowiadaniem p. Atanazego.

Na Aleksym chorążyc ze swą arystokratyczną wiarą w posłannictwo rodziń i mistycyzmem inne zrobił wrażenie: podziwiał go, sympatyzować z nim nie mógł. Nieco dumy szlacheckiej odezwalo się w sercu jego; syn wieku czuł się równie wszystkim i nieczyjej prócz geniuszu wyższości nie uznawał nad sobą; w nieczyją misję spadkową prócz płomienistego bohaterów posłannictwa nie wierzył; postać ta jednak oryginalna, silnie przejęta uczuciem religijnem, poważna, niemięta, osamotniona, jakieś w nim uszanowanie wzbudzała. Lubimy w ogólności ludzi miękich i wygodnych, ale cenić ich nie możemy wysoko; potrzeba pewnej mocy charakteru, aby sobie serca zaskarbić i do uwielbienia zmusić... Aleksey nie godził się z chorążycem, ale przekonanie jego szanował; Justyn dawno był przywykł do ekscentryczności pana Atanazego, codziennym był jego słuchaczem, ale ten inaczej na świat poglądał. Dla niego wszystko było poezją. Z niej się rodziło i z nią umierało, gdzie jej nie było, tam jemu świat się kończył, a zaczynało państwo bezduszne śmierci i milczenia.

Jedno tylko przekonanie o znikomości świata, o malej cenie żywota ludzkiego przejął od swego nauczyciela Justyn; dlatego nie się nie troszczył o los, przyszłość i o te skarby, o które najmocniej dobijają się inni. Lata jego ubiegały w rajskim zachwycie i zapatrzeniu w niebo, w widome dzieła niewidomej ręki, które wielbił duszą

całą... opiewał całym sercem.

— Mielizbyśmy tak prozaicznie snem bydlęcym tę piękną noc zakończyć? zapytał wreszcie spoglądając na Aleksego i Juljana...

— Mnie się spać nie chce — odparł Aleksey... rozmarzyło mnie opowiadanie... wszystkich Karlińskich mam przed oczyma...

— A ja... cały boży świat tak piękny a tak niepojęty, rzekł Justyn... chodźmy do ogrodu... szum drzew i spokój natury ukołysze nas najlepiej, przeczujemy jeśli zrozumieć nie potrafimy harmonję.

Juljan chciał się podnieść na to wezwanie, ale mu sił zabrakło; blady, znużony, dźwignął się wywołując uśmiech na usta, i spojrzał na Aleksego...

— Idźcie, rzekł, zostawcie mnie tu samego, ja posiedzę, podumam, spocznę, gdyż, choć wstyd mi się przyznać, złamany jestem i wstaćbym nie potrafił...

Aleksey i Justyn wyszli przez drzwi do starego ogrodu, i wkrótce w pomroce nocy znikli z przed oczów Juljana, którego marzenia przedzierzguwały się w sny dziwaczne... powieki mu się skleily, i z uśmiechem na ustach, przy dogorywającej świecy, obezwładniał, ujęty snem ciężkim...

XV.

Dzień był już jasny, gdy dzwonek kapliczny obudził Juljana; przerwał on rozmowę gorącą jeszcze Aleksego i Justyna, którzy oka nie znużywszy, błędzili po szpalerach ogrodowych... O czem mówili? Któż połapie młodych słowa i marzenia poety? możnaż je spisać i czary ich wypowiedzieć? — Snuje się nic jasna, złocista, tęczowa, ale jej na drewnianą szpulkę nie nawiniesz, bo

ci się porwie w szare i zbrukane kawałki.

Nie samem słowem rozmawia człowiek; rozumieją się dusze, mówią uśmiechy, westchnienia, skinienia i oczy, a tej muzyki, tej pieśni uczuć, żadne pióro wyrazić nie potrafi. Co tam rzeczy w jednym wykrzyku, w jednym słówku, w milczeniu!!! Odejmiij natchnienie, wyrwij ducha tej rozmowie, każ ją powtórzyć jutro... a nie poznasz tego dziecięcia chwili, które już skrzydła niewidome gdzieś w niebo uniosły.

Taką była rozmowa Aleksego z Justynem, bo dwaj młodzi ludzie przystali do siebie jak bracia rodzeni, i spędziwszy tę noc z sobą pod cieniem starych lip ogrodu, już byli jak starzy znajomi. Kiedy dzwonek kapliczny przywołał ich ku domowi, zastali Juljana rozbudzającego się ze snu i z podziwieniem oglądającego dokoła... Sen w krześle spóźniony, ciężki, duszący, znużył go więcej niż tamtych czuwanie do rana; zbladły wstał Karliński, wstydzając się trochę słabości, której pokonać nie mógł. Tuż z pokojów swoich wyszedł i starzec z księgą i różańcem...

— Chodźmy się modlić, rzekł poważnie... jedyne szczęście ludzkie w modlitwie... to dla mnie poezja życia... Ksiądz Mirejko czeka na nas przed ołtarzem...

W dziedzińcu cały dwór już zbiegał się ze wszystkich kątów do kaplicy... Przed drzwiami jej widać było zdaleka kapelana, w długiej albie ubranego, który spoglądał niespokojnie ku dworowi, bo jakkolwiek pobożny, nie lubił gdy się zbyt późno opóźniało śniadanie... wszyscyśmy słabi.

Pani Gończarewska od oficyn dążyła krokiem mierzonym także ku kaplicy, i w jednej chwili wszyscy się w niej zebrali... Dla gości były ławy i krzesła; gospo-

darz pokłękł na twardej podłodze, upadł krzyżem i z jękiem począł się modlić... Kaplica w Szurze nie była wcale podobną do pospolitych dworskich strojnych i wypięknionych przybytków, które pachną pałacem i elegancją; był to stary budynek drewniany, od dawna nie ruszony i więcej przypominający wiejskie nasze kościółki.

W wielkim ołtarzu kamienny Chrystus na krzyżu wisiał wśród wybladłych obsłon, niżej Matka Boska Bolesna... z siedmią mieczami w piersi... Po dwóch stronach wielkie portrety Hrehorego i Jędrzeja oboźnego, wystawujące ich na klęczkach, zdawały się modlić za upadłą rodzinę... Jedynym przepychem była niezmierna płyta marmurowa, położona na podłodze pamięci Karlińskich, na niej imiona zmarłych wyryte były z prośbą o modlitwy za ich dusze.

Wyszedł ze mszą ksiądz Mirejko, do niej służył mu Justyn, a dwornia pana Atanazego rozpoczęła śpiew stary, który trwał chórem przez cały ciąg ofiary. Chorażyc przeleżał krzyżem mszę całą, i gdy się już skończyła, nie powstał rychło; wyszedł ksiądz Mirejko, wszyscy się porozehodzili z kaplicy, on jeszcze trwał na modlitwie, co kapucyna nieco niecierpliwiło. Nie śmiał wyjawić, że radby kawy skosztować, ale się troskał o to, żeby przedłużone na zimnej podłodze leżenie, zdrowiu starca nie zaszkodziło. Nareszcie w progu kaplicy ukazał się pan Atanazy, jakby ze snu przebudzony... aureola gorącej modlitwy jeszcze opromieniała twarz jego, na której ślady łez pozostały; w milczeniu skierowano się ku dworowi.

— Wiesz asani dobrodziejka... — cicho szeptał kapłan pani Gończzarewskiej, a to nasz chorażyc caluteńką noc nie spał i gościom podobno oka zmrużyć nie dał... pan

Juljan ani się kładł, ci ichmość podobnie... Dobrze to bardzo... ale są wszystkiemu granice... Chorążyc będzie chorować...

— Albo ja co na to poradzę, odpowiedziała pani Gończarewska, — widzisz asan dobrodziej, jak mnie tu słuchają!... Nikt! nikt! Pan chorążyc jak dziecko ze-psute... robi co mu się zamarzy, nie ma sposobu...

Stół ze śniadaniem otoczyli wszyscy, ale pan Atanazy do niego się nie zbliżył; u niego to był dzień postu, a post jego nigdy inaczej, tylko o chlebie i wodzie się odbywał.

— Dla was, rzekł stary z nśmiechem... i to śmiesznością, co od wieków nznancu zostało wielkiego skutku środkiem podniesienia ducha... nie wierzycie w post i nie możecie pościć. Nie dziwię się temu: ciało wasze przywykło do pieaszcot i wygódek, zamarłoby, gdybyście je podsycać przestali, bo tylko ciałem żyjecie. Tysiące lat, we wszystkich narodach, we wszystkich wiarach i instytucjach, znajdujecie post, jako tradycyjną dźwignię, oswobodzającą ducha... ale prawda wieków dla dni dzisiejszych stała się przesądem... Zresztą, mogliżbyście pościć? post nie zgadza się z życiem waszem, tak, jak modlitwa nie przystaje do niego... Nie patrzcie więc na dziwaka, który o chlebie i wodzie czuje się rańniejszym, zdrowszym, silniejszym, niż wy po najposilniejszych potrawach waszych...

I starzec w czoło pocałował Juljana, jakby litością nad nim zdjęty.

— Biedne dziecko! wyrzekł z cicha... — No! powiedzże mi co o Annie, zapytał po chwili... Nie pytam o jej zdrowie, mów raczej, jak spełnia swój kielich, jak nosi swoją koronę cierniową?? Czy znać na jej twarzy to

życie ofiary i zaparcia się siebie?

— Nie, odparł Julian żywo — nie, stryju. — Anna jest aniołem, który nigdy nie patrzy na zranione nogi swoje...

— Ona jedna godna krwi naszej starej! nniósł się pan Atanazy... jej też, nie tobie, posłałem cierniową koronę... Nie wymawiam ci, tyś innym być nie mógł — tyś żywą prawdą słów bożych, karą za grzechy rodiców naszych; czujesz dobro, a nie masz siły je pełnić; krew wodnista płynie w żyłach twoich strumieniem błędów, które się w ciebie przelały... dusza twoja wyrывa się i ulecieć nie może!...

Juljan uczył się wzruszonym, starzec przycisnął go do serca...

— Spełnić się musi, rzekł, co napisano... w niezbadanych sądach bożych! upadek naznaczony nam, nic wyroku nie przeblaga...

— Pan chorąży dobrodziej, przerwał ksiądz Mirejko... nadto nam smutnie prorokujesz... do czego to? do czego? Nie religijnie! nie religijnie! wątpić o miłosierdzin bożem!

Starzec zamilkł z pokorą.

W ciszy, przerywanej tylko westchnieniami pani Gończarewskiej, która z politowaniem spoglądała na gospodarza, i odchrzakiwaniem kapelana, zajądającego z kolei co tylko było na stole, skończono śniadanie; konie Juliana już były zaszły, a pan Atanazy czując zbliżającą się chwilę pożegnania, osmutniał bardziej jeszcze; przechadzał się, spoglądał, wzdychał. W ganku Aleksy z Justynem wiedli po cichu przerwana rozmowę nocną... Długo odkładano rozstanie, bo i Julianowi ciężko było stryja porzucić, czuł jakiś pociąg ku niemu, choć może

dwóch różniejszych od siebie istot nie było na świecie; ale sprzeczność kierunków i charakterów stanowiła związek między niemi. Siła i słabość pociągały się wzajemnie.

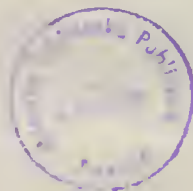
— Nigdyż nas nie odwiedzisz stryju? zapytał Julian w progę...

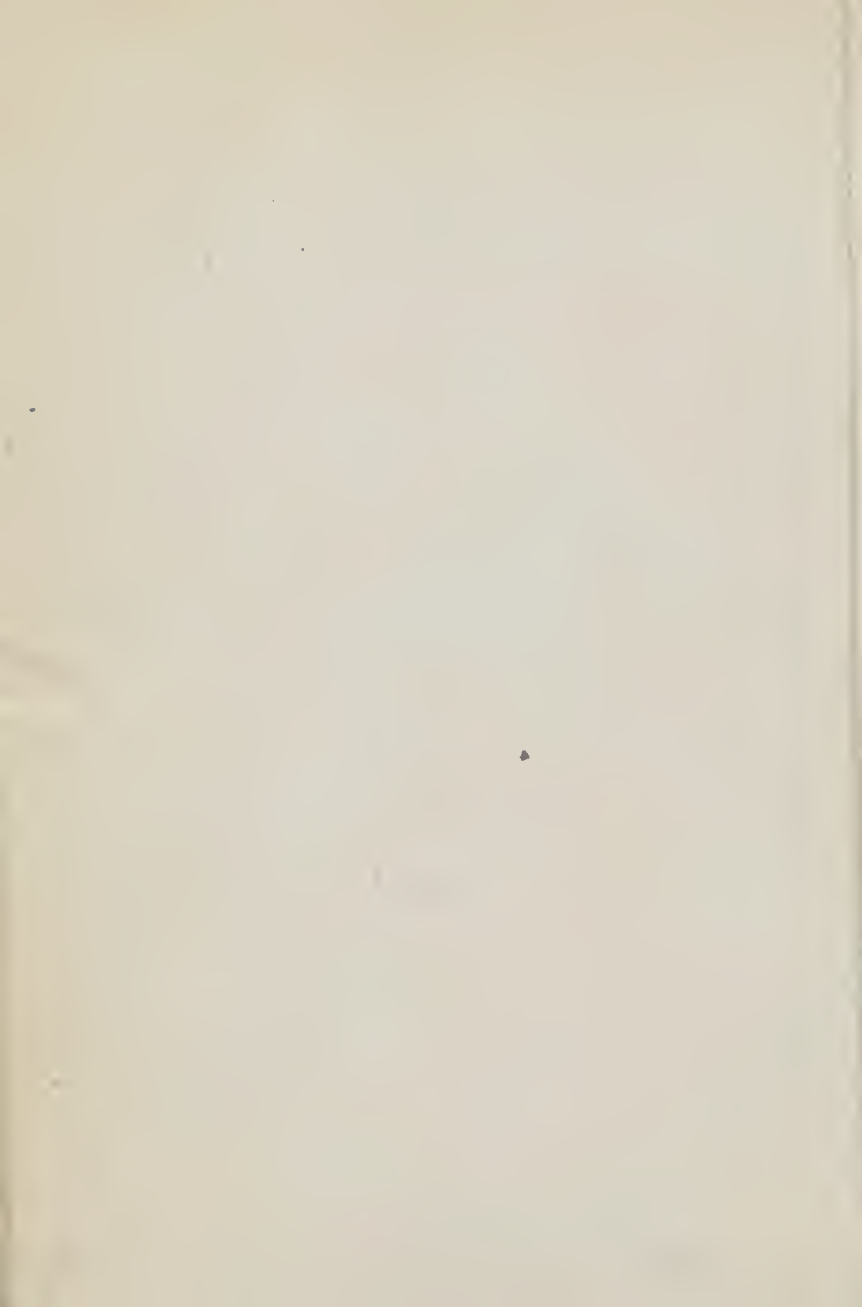
— A cóżbym tam robił? odpowiedział pan Atanazy— na tej pustyni mi najlepiej: żywi mnie nie rozumieją, a widok świata zasmuca zbyt. Musiałbym kazać i karcieć jak obożny, i jak z niego śmielibyście się ze mnie. Staremu lepiej dożyć pokuty za grzechy swoje i cudze w tem zaciszu, z Bogiem i modlitwą; może ubłagać potrafię sprawiedliwość, i na siwą głowę ściągnąć to, coby was dotknąć mogło... może uproszę dla was litości bożej...

Łza znowu stanęła mu w oku.

— Jedź, rzekł, zawieź błogosławieństwo moje Annie... i biednemu Emilowi... pokój Chrystusów niech będzie z wami!!

KONIEC TOMU DRUGIEGO





Biblioteka Raczyńskich

JIK **1420**



JIK1420